

po prostu

TYGODNIK STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

ksawery pruszyński

Audiencja

(Fragmenty „Opowieści o A. Mickiewiczu“)

Zebrań, na którym miano ra-
dzić nad utworzeniem Legio-
nu Polskiego w Rzymie, od począt-
ku zarysowało się wojenne. Osob-
no zgromadzili się dobrze znani,
spokrewnieni, czy zaprzyjaźnieni ze
sobą działacze, osobno nikomu nie
znani młodzi artyści, ci z rzymskich
kawiarni, którymi tak gorzelił się
Łubiński. Osobno, milcząc i mniąc
jakieś kartki, zasiadł Mickiewicz.
Zrazu dyskusja toczyła się sennie.
Ale gdy naraz padło pytanie, kto
ma być wodzem Legionu, i padło
nazwisko Władysława Zamoyskie-
go, Mickiewicz wybuchł: „Nie,
nie, Zamoyski nigdy”. Po owym
weto wyłała się lawina protestu:
„Zamoyski nigdy”. Wpierw niech
się wytłumaczy z zarzutu, że wuj
swego Czarotyskiego na króla fo-
rował. Niech wstąpi, ale na proste-
go żołnierza“.

Łubiński spróbował tłumaczyć,
że przekonanie polityczne ujmę, nie
przynosi. Chciał rzec, że ostatecz-
nie wolno było mieć Zamoyskiemu
jego monarchistyczne zapęły. Ale
rozjuszony poeta nie dał się za-
trzymać. „A więc ty, panie Łubiń-
ski, zawołaj, który stanął jako
zausznik Zamoyskiego, zmyj wprzó-
dy plamę złodziejstwa publicznego,
jaką twój ojciec położył na czole
twoim”. Nie wiemy, czy istotnie tak
było; nie wiemy, czy ojciec Łubiń-
skiego istotnie sprzeniewierzył jak-
ieś pieniądze publiczne. Ale gdy-
by nawet tak było, czy, niemą-
dry zresztą, Łubiński mógł być od-
powiedzialny za ojca? Chyba nie —
i to, że ksiądz Jełowicki przewo-
dzący zebrań wzmieszał się w
dyskusję, było aż nadto naturalne.
„Nie godzi się syna za ojca piętno-
wać”, zawołał ze swego miejsca.
Tu już Mickiewicz nie hamował się
niczym. „Ach, ty popie, jezuito, —
wrzasnął, tupiąc nogą, na dawnego
wydawcę „Pana Tadeusza”. — Dep-
tałem was wszędzie, ale sukienkę
odmieniwszy, z duszą jezuicką pod
tysiącami postaci przychodzącie to-
wi ludzi. Zdepcę was. Do was mó-

wię, słuchajcie mnie — zwrócił się
do młodzieży na sali — a zatkajcie
uszy na te pnie spróchniałe”. Czer-
wony z gniewu Łubiński wołał
coś, że „wara od naszej młodzie-
ży heretykoma i jakobinoma”. Se-
kundował mu dzielnie Opiszewski.

Wszczął się niesamowity tumult.
Na chwilę sala na via dei Pre-
fecti przypominała sejmik w Osz-
mianie czy Sądowej Wiszni, albo
narady w Dobrzyniu, przerywane
Mackowym, gwałtownym „a głupi,
a głupi”. Ale żaden hrabia otoczony
dżokejami nie wjechał na dziedzi-
niec i poeta odezwał się tylko: „wi-
dać, że was topór galicyjski nicze-
go nie nauczył”. Z tym, jak ze sło-
wami kłóty, opuścił zebranie. Za
nim, jak Gerwazy za Hrabia, wysze-
dził Gierycz pozostawiając osłu-
piały tym wybuchem pasji, rzym-
skie Soplicowo.

W kilka dni później Mickiewicz
ulożył i ogłosił wyznanie wiary,
zbiór hasel, „symbol polityczny” no-
wego legionu. Uczestnicy tamtego
zebrania musieli, czytając go, prze-
cierać niejedną łuskę, albowiem
z niedawnej rewolucyjnej furii nie
zostało w tym czcigodnym akcie nic
prawie. Chropawym, uroczystym,
niemałym biblijnym słownictwem po-
wiedziane tu było tylko, że zgro-
madzeni Polacy łączą się w oddział
celem powrotu do Ojczyzny.

„Duch polski — Ewangelii słu-
ga” powiedział ów zbiór zasad. Po-
tem szły dalsze przykazania. „Pol-
ska w osobie wolnej i niepodległej
staje i Światełszczyźnie dłoń poda-
je. W Polsce wolność wszelkiemu
wyznaniu Boga, wszelkiemu obrzę-
dowi i zborowi. Słowo wolne, wol-
nie objawione, z owoców przez pra-
wo sądzone. Wszelki z narodu jest
obywatelem. Wszelki obywatel równy
w prawie i przed urzędami. Wszelki
urząd obieralny, wolnie da-
wany, wolnie brany. Izraelowi,
bratu starszemu, uszanowanie, brat-
erstwo, pomoc na drodze ku jego
dobru wiecznemu i doczesnemu,
równie we wszystkim prawo. Towa-
rzysze żywota, niewieście, brater-
stwo i obywatelstwo, równie we

(dokończenie na str. 7)

TAM ZAPOMNIANO O SOCJALIZMIE

Zambrów. Zagubione w Biało-
stoczczyźnie miasteczko. Zbio-
rowisko odrapanych kamieni-
uszy na te pnie spróchniałe. Czer-
wony z gniewu Łubiński wołał
coś, że „wara od naszej młodzie-
ży heretykoma i jakobinoma”. Se-
kundował mu dzielnie Opiszewski.

Co rok waliły się dachy starych
domów, rozpadające się ściany pod-
pierano belkami.

Taki był jeszcze Zambrów w dniu
gdy na mapie zabłysnął czerwony
krążek. Zambrów — kombinat wło-
kienniczy — Budowa Socjalizmu.
Tak samo jak dzień wcześniej
szły krowy przez rynek, a lu-
dzie leniwie wystawali przed do-
mami.

Zadecydował się ich los, los ty-
sięcy im podobnych, los miasta.
Wybudować w Zambrowie kombi-
nat bawełniany. W socjalizmie to
znaczy: warsztat pracy, jasne do-
my, światło, kultura, książka. W
socjalizmie to znaczy troska o
wszystkie sprawy człowieka, to zna-
czy wszystko dla człowieka.

Dla Zambrów kombinat ma wa-
gę szczególną. Zaczofane, nędzne
miasteczko stać się ma ośrodkiem,
który będzie oddziaływał na cały
zaniebany, pełen uprzedzeń i fal-
szywych tradycji rejon. Tutaj ma
powstać wychowany na rewolucyj-
nych tradycjach proletariatu nowego
typu, klasa robotnicza budująca dla
siebie socjalizm.

CENA BAWELNIANEJ PRZEDY

Do Zambrowa przyjechaliśmy w
dzień powszedniej radości. Po raz
pierwszy kombinat wykonał plan.

Plan, tylko plan jest treścią ży-
cia kombinatu i jego najmłodszej
chłoby załogi w Polsce.

Młoda, pełna zapału i ofiarności,
związana z kombinatem na śmierć
i życie jest częścią zambrowskiej za-
łogi. To ci, którzy przeżyli trud

pierwszych dni kombinatu, którzy
wyrósłi wraz z kombinatem.

Ryły kiedyś brygady pionierskie.
Maszyny pionierów lśniły czysto-
ścią. Dbali o nie, pieścili, wiedzieli,
że to ich maszyny.

Plan musi być wykonany. Roz-
bito brygady, poszczególnym dzie-
ciom przydzielono najbardziej za-
nieczyszczone, źle pracujące ma-
szyny bumelantów. Już nikt nie

przeszło 100 m. Do dziś nie rozwią-
zano problemu transportu.

Niezasosowanie nowej metody
czyszczenia maszyn, brak należytej
konserwacji spowodowały, że po-
łowa zgrzeblarek już dziś stoi mar-
twa, nie nadająca się do produk-
cji. Brak tu wysoko wykwalifikowa-
nych majstrów i mistrzów. Ci co
są, to przeważnie 19-letnia mło-
dzież, która się dopiero uczy. Od

małego stosowania nowoczesnej
techniki. Inwestycje na „luksus”
prędko się amortyzują.

*

Plany produkcyjne są po to, aby
je wykonywać. pod warunkiem o-
czywiście, że są realne i możliwe
do wykonania. Kombinaty zambrów-
ski od początku beznadziejnie szar-
motał się w walce o wysoki plan
naznaczony przez Centralny Zarząd.
Widziano odległą cyfrę końcową,
gubiono się w drodze, zapomniano
o jej faktycznej treści, o czerw-
nym krążku, który zaświecił kie-
dys na mapie.

Na godzinę przed naszym odjaz-
dem szum maszyn hali produkcyj-
nej przeszył przeraźliwy krzyk ko-
biety. Za chwilę niesiła ją koledzy
do odległego ambulatorium.

Czy widzieliście kiedy ręce pra-
dek jak zwinnie łapia zerwane nitki?
Ich ruchliwe palce są niespo-
kójne nawet po pracy. Rękę dzien-
czyny troskliwie podtrzymywały ko-
leżanki. Niedoświadczoną dzien-
czynę postawiono przy nieznanym
maszynie. Maszyna musiała praco-
wać.

Operacja była konieczna natych-
miast. Do szpitala 25 kilometrów.
Prowizoryczne ambulatorium kom-
binatu nie ma własnego transportu
sanitarnego. Nie wolno czekać. Do-
brze, że przed budynkiem stała
dyrektorska „Warszawa”. Wbrew
przepisom odwozła ranną na ope-
rację. Dyrektor był przeciw czło-
wiekiem.

*

Wiele, zbyt wiele jest w kombi-
nacie spraw, które wymagają jak
najszybszej zmiany. Dużo zależy
od właściwej postawy załogi, od li-
czenia się z jej głosem.

W Zambrowie nie ma zjawiska
tłumienia krytyki. W Zambrowie
jest natomiast inna skuteczniejsza
być może forma nieliczenia się z
głosem załogi — niereagowanie na
krytykę.

Tomy można by składać ze spr-
awozdań i porad, które odbyły się
w Zambrowie, nierzadko z wyso-
kim udziałem urzędników Ministerstwa i
Centralnego Zarządu. Wysłuchano
i zapisano krytyczne uwagi robot-
ników i do dnia dzisiejszego nie-
wiele się zmieniło w kombinacie
(dokończenie na str. 6)

Przed II Zjazdem ZSP

KILKA SŁÓW PRAWDY

Uważam, że główną chorobą or-
ganizacji ZSP (a również i
innych) jest zagubienie sensu jej
istnienia w schematycznych, skost-
niałych formach pracy stosowanych
od lat wielu dla wszystkich tzw.
„odcinków terenu” tak samo i w
praktyce niezmiennie. Poważne i
niesłychanie potrzebne zadania jak-
ie ZSP spełnia — jak wczasy, eli-
minacje artystyczne czy opieka
zdrowotna nie mogą nam zasłaniać
oczu na pewne niedostatki zasadni-
cze. Organizacja społeczna powinna
swoją siłę czerpać głównie z tzw.
mas. Tymczasem nasza organizacja
czerpie swoją „siłę” z funduszy,
które otrzymuje z zewnątrz oraz z
grupy ludzi znajdujących się na kie-
rowniczych stanowiskach, którzy po-
święcają cały swój wolny czas na
prace administracyjne — organiza-
cyjną i stają się etatowymi pracow-
nikami Zrzeszenia.

Przypominamy sobie pracę jedy-
nego z sensu egzystującego wy-
działu naszego komitetu — wydz.
warunków socjalnych prowadzonego
u nas przez kol. Krawczyka. Były i
są okresy, kiedy chcąc wykonać
swoje zadania Ola przestawała uc-
zęszczać do szkoły, biorąc udział
w najrozmaitszych zebraniach i od-
prawach dotyczących stypendiów,
mieszkań, wczasów, obiadów itp.
Oczywiście, prawie mi ktoś: „to zna-
czy, że kol. Krawczyk nie potrafił
zorganizować sobie kolektywu, któ-
ry by jej pomógł, a którym ona by
kierowała”. Spytajcie koleżanki
Krawczyk, czy praktyczne wykona-
nie tej znanej etykiety organizacyj-
nej jest możliwe? Moim zdaniem —
nie. I jeszcze jedno. Nie chcąc w
niczym umniejszać zasług Oli dla
szkoły i studentów, nie umniejszając

jej ciężkiej pracy w ciągu 3 lat
stwierdzam, że zasadniczą częścią
jej pracy była praca urzędniczo-
administracyjna, a po drugie, że spe-
cyfika tej dziedziny pracy polega
na jej kierunku, który idzie od kie-
rownictwa do „mas”. Jak to rozu-
miem? Weźmy np. sprawę wczasów.
Kierownik wydziału otrzymuje pe-
wną ilość miejsc na wczasy, przy-
jmuje taką a taką ilość zgłoszeń, po
czym w oparciu o swoją opinię przy-
dziela miejsca. Tzw. inicjatywa
mas, praca w grupach i inne tego
typu formy nie są tu potrzebne.
Podobnie rzecz się ma ze stypendia-
mi, domami studenckimi itd. Tu-
taj leży przyczyna względnych suk-
cesów tego wydziału. Jeszcze raz
podkreślę, że trzeba na to samo-
zaparcia i energii kol. Krawczyka,
która potrafiła wyrzec się wielu rze-
czy, aby zwalczyć najróżniejsze ad-
ministracyjne przeszkody.

Podobna sprawa jest z wydziałem
finansowym. Praca jego kierownika
polega na administracyjnym pro-
wadzeniu ksiąg i rachunków oraz
na tzw. „wywalczaniu” pieniędzy od
władz. Łączność tego wydziału z
grupami, z istotą pracy organizacji
jest jeszcze mniejsza niż w wypad-
ku poprzednim. Jego sukcesy zależą
od umiejętności kierownika. Dawny
kierownik kol. Dmochowski prowa-
dził go doskonale, umiał bić się o
fundusze, prowadził ksiązkę niena-
gannie. Przy mniejszym wkładzie
energii i mniejszym arsenale środ-
ków podbijania serca Komisji Okre-
gowej u kol. Kubiaka, wydział ten
w naszym Komitecie pracował gor-
zej. Nie tu jednak leżą przyczyny
złej pracy i nie te dwa wydziały są
najistotniejsze dla organizacji. Jak
prowadzić pracę w tych dziedzi-
nach, które są zasadnicze?

Teoretyczne cele i sens organiza-
cji ZSP są właściwie dokładnie o-
kreślone, o co więc rozbiła się ich

realizacja? W ideale praca mogłaby
się rozwijać, gdyby zapewnione by-
ły 3 warunki:

- a) pomoc i wskazówki władz nad-
rzędnych;
- b) inicjatywa kierowników;
- c) aktywny udział członków or-
ganizacji.

Rozpatrzmy po kolei te trzy punk-
ty. Władze nadrzędne. Prawdopo-
dobnie i tam istnieją te same za-
gadnienia i trudności poszczególnych
wydziałów co i w naszej uczelni.
Tylko że zasadnicza część pracow-
ników KO czy RN to ludzie minimal-
nie związani z tzw. terenem — u-
rzednicy mający pojęcie o pracy
poszczególnych organizacji uczelni-
nych ze sprawozdań, zebrań i od-
praw. Nie przeczę, że gdybym w
czasie swojej pracy wcześniej
zwrócił się do KO o pomoc to na
pewno byłbym ją w tej czy innej
formie otrzymał — nie mam prawa
nie wierzyć w szczere intencje na-
szych kierowników. Pozwalam so-
bie tylko poddać w wątpliwość ich
rady. Zdaję sobie sprawę z tego, że
by utrzymać łączność z grupami
— „podstawowymi formami pracy
naszej organizacji”, żeby „koordyn-
ować pracę wydziałów” i wyzna-
czać dyżury członków komitetu.

Nie chcę tu oczywiście niczego i
nikogo ośmieszać ale myśląc roz-
sądnie, czego innego można spodzie-
wać się od ludzi, którzy nas znają
teoretycznie. Władze nasze przysy-
łają schematyczne instrukcje nie
biorące zupełnie pod uwagę istnie-
jącej na pewno specyfiki szkoły
teatralnej. Instrukcje dotyczące np.
zorganizowania biblioteki szkolnej,
czy kółka dramatycznego. Jakże u-
boga być musi praca ZSP, jeżeli nie-
śmiało próby pracy zeszytowego
radiowęzła spotykały się z wielkim
uznaniem i „znalaliśmy poproszeni
o wygłoszenie pogadanki dla kiero-

wników radiowęzłów z innych uc-
zelni warszawskich o naszych me-
todach i formach pracy w radiowe-
zle. Pomyślałem sobie, jak mało
inicjatywy muszą przejawiać człon-
kowie organizacji, jak nieszcześli-
wi muszą być członkowie KO od-
powiedzialni za zastośowanie pomysłu
inicjatywy, jeżeli z takiej słabości
robi się organizacyjne wydarzenie na
miarę ogólnouczelnianą.

Tu dochodzimy do zagadnienia
drugiego, do inicjatywy kierowni-
ków. Każdy, kto został wciągnięty
w wyborach do Komitetu, stara się
oczywiście przysłużyć się w jakiś
sposób organizacji, ma jakieś swo-
je plany i pomysły. Zostają one
dość prędko zniszczone. Kierownik
pracuje wg. schematycznego planu
pracy, a musi on być schematyczny
bo trzeba wykonać pewne zadania
nałożone z góry. Trzeba zorganizo-
wać eliminacje artystyczne, trzeba
przewodzić świetlicę, trzeba kiero-
wać zespołem tanecznym, plastycz-
nym czy chóralnym. Aby wykonać
te zadania trzeba i tak poświęcić
cały czas wolny od pracy aktor-
skiej, pokonywać wielkie ilości prze-
szkód. Członek komitetu, który chce
być jako tako w porządku wobec
organizacji nie ma po prostu czasu
na inicjatywę. Całą swoją giętkość
organizacyjną zużywa na to, w ja-
kiej formie wywieść ogłoszenie o
zapisach do baletu, żeby przycią-
nąć członków. Jeżeli udu mu się to
zrobić oryginalnie, to na najbliższej
odprawie w KO długo i szeroko
mówi się, że „Teatralna” ma wiel-
kie osiągnięcia w propagandzie ba-
letu, bo zrobiła ogłoszenie z wsu-
waną tekturką zawiadamiającą o
dniu i godzinie próby. To osiągnię-
cie powinny orzecznieść do siebie in-
ne uczelnie oczywiście uwzględniając
trudności i specyfikę swojego „tere-
nu”.

(dokończenie na str. 7)

1855

1955



Mickiewicz według dagerotypu paruskiego; rysował
Kazimierz Mordakiewicz

Po godzinnym postoju w Tere-spolu pociąg (wreszcie!) ru-sza. A więc za parę minut granica! Dawno zapowiadany i oczekiwany, lecz po wielokroć odkładany wyjazd nareszcie stał się faktem.

Wraz z przewodniczącym delega-cji, prof. Petrusiewiczem jest nas piętnaście osób, przedstawiceli tzw. młodej — średniej kadry biologów. Stanowiąmy drobną jedynie grupę szczęśliwców wybraną spośród licznej rzeszy aktywny tzw. kortowców, którym to mianem ochrzczili siebie uczestnicy dwu (1953 i 1955) konfe-rencji naukowych odbytych w Kor-towie k. Olsztyna. Jedziemy na mie-siąc (jak się później okazało na okragle 32 dni) z zamiarem ogólnego zapoznania się z działalnością możliwie jak największej ilości za-kładów i instytucji biologicznych w Moskwie, Leningradzie i... jeśli do-brze pójdzie (a to jest cicha nadzieja wszystkich) odwiedzimy również domowe strony naszego „starego” znajomego — ormiańskiego genety-ka — prof. Babadżaniana.

WSPOMNIENIE Z... WARSZAWY

Brześć ukazał się nam w postaci dość zaskakującej sylwetki nowo-wybudowanego dworca z dziwacz-ną wieżyczką na szczycie. Nastę-puje kontrola dokumentów, dosyć formalna odprawa celna i bynajm-niej nie formalna kontrola owo-ców przez pracownicę stacji ochro-ny roślin.

Na peronie spozstrzegawczy (jak każdy ekolog) Wojtek znajduje oka-zję do „upłynnienia” pierwszych rubli: kupuje lody. Idę w jego śla-dy. Lody są wysmienite i tanie (ważone: 10 kg — 1 rubel) zupełnie jednak nie przypominają naszych. Można się nimi najęść, lecz nie u-gasić pragnienia: są niebawale tu-ste i topnieją bardzo powoli. Mimo to rozmakowali się nimi wszyscy.

Ileż to razy później — w Moskwie — spotykając na ulicach w czasie największych upałów co kilkadzie-siąt metrów wózki - lodówki z 6—7 gatunkami lodów i także wózki produkujące w praktycznie nieogra-niczonych ilościach wodę sodową (4 kopiejki szklanka) wspominali-smy z melancholią warszawskie „su-che” kioski - widma i wymowny gest beznadziei stereotypowej od-powiedzi sprzedawcy...

TRUDNO OCENIĆ

Już pierwszy wieczór pobytu w Moskwie wzbudził w nas sprzeczne uczucia. Przyczyna stały się moskie-wskie kontrasty, które w sposób zaskakujący zaczęły się nam rzu-cać w oczy już od chwili przyjazdu do hotelu. Wysokościowy hotel, „Leningradzki” to rażąco przesadą przepych ozdób, ściany kapiące wprost od wyszukanej sztukiartei, złota i czerwieni, bogaty w orna-mentację, przedsionek do wind przypomina nawę kapliczną... A tuż za potężną bryłą naszego hotelu znajduje się ulica parterowych i jednopiętrowych domków, wśród których nie brak mocno już przez-ząb czasu nadgryzionych drewnia-ków w stylu a la Żyrardów. Ale kto był w Moskwie zaraz po wojnie musiał przyznać, że miasto w ciągu dziesięciolecia powolennego zmieni-ło się nie do poznania.

Nasz hotel znajduje się przy pla-cu Komsomolskim, przy którym

Moskiewskie kontrasty i rozmowy z Łysenką

Prof. ZDZISŁAW KOCHAŃSKI

mieszczą się trzy dworce. Codziennie przeważa się przez nie kulkaset ty-sięcy przejezdnych. Biletów na po-ciąg sprzedają tylko tyle, ile jest miejsc siedzących. Ale dla przejezd-nych miejsc w hotelach brak, zna-jomych na dieście rzadko kto po-siada. Czekają więc ludzie na dwor-cach, rozsiadają się z tobołami na ławkach, na ziemi, w poczekalniach, i przed dworcem, a że jeszcze też trzeba, więc i papiery i ogyzki...

Ale to wrażenie, które robią okolice dworców, mijają natychmiast, gdy przejeżdżamy kilkaset metrów dalej w kierunku miasta. Piękne ulice lśnią nieskalanym asfaltem, „elektroluksy” (to nasza nazwa wo-zów z podwójnymi szczotkami wcią-gającymi śmiecie) jeżdżą co parę minut; metro, w którym papierka nie znajdziesz, robi wrażenie pała-cu.

Te same trudności co w ocenie miasta napotyka się w ocenie wy-glądu i zachowania mieszkańców. Z jednej strony niedostatek smaku estetycznego a często i niedbalstwo w ubiorze, niekiedy również brak tzw. elegancji i ogłady w zachowa-niu, z drugiej jednak nie zdarzyło się nam słyszeć tak popularnych w Warszawie „pyskówek”. Wszędzie natomiast napotykałem sfoferów, do-zorców, sprzedawczyń wody sodo-wej — słowem wszystkich mających choć jedną wolną chwilę — z otwartą książką w ręku. Pęd do książek, teatrów, dzieł sztuki jest olbrzymi. Sam rozmawiałem z kołchoźnikami i emerytem kółkowym z Kujbyszewa, którzy pierwsze swe kroki w Moskwie skierowali na Tretiakowską Galerię Obrazów.

Korzystając z wolnej chwili wpad-łem któregoś wieczora do rodziny B, krewnych mojej koleżanki. Mie-szkają kiepsko: czteroosobowa ro-dzina ma dwa pokoiki o 31 m kw. powierzchni i możliwość korzystania ze wspólnej kuchni i łazienki (jed-na na 3 rodziny). Szybki wzrost ilościowy ludności Moskwy (w tej chwili około 7 mln. sprawia, że cia-snota mieszkaniowa jest chyba większa niż w Warszawie. Na domiar złego mieszkanie jest niesłychanie załoczone meblami: większy z po-koji przeznaczono na sypialnię. Pa-ni domu twierdzi, że po tapczany sięgają tu ludzie w wypadku skraj-nej ostateczności.

W KIEPSKIM UBRANIU — WŁASNYM „MOSKWCZEM”

Rozmawiamy o warunkach mate-rialnych. Rodzina państwa B. ma dochody raczej przeciętne: mąż jest buchalterem i zarabia 1100—1200 rb. miesięcznie pani B jako bibliotekar-

ka w fabryce otrzymuje około 500 rb., starsza córka studentka III ro-ku instytutu technicznego dostaje stypendium 300 rb., młodsza uczy się w szkole. Razem więc na czte-roosobową rodzinę przypada około 2000 rb. miesięcznie.

Żyją więc skromnie, pani B. przyznaje, że na ubranie wydaje niewiele (istotnie — ubrana jest chyba gorzej, niż przeciętna kobieta z rodziny urzędniczej u nas w kra-ju). „Dzięki temu jednak — jak wskazuje pani B. — mamy jak pan widzi dobre radio, telewizor, byli-smy w tym roku prywatnie z całą rodziną miesiąc na Krymie i Kau-kazie, a za tydzień będziemy pana mogli przewieźć własnym samocho-dem — „Moskwiczem”. Kosztuje co prawda całe 9000 rubli, ale ubiera-lismy jakoś...”

Rzeczywiście, zawodne mogą być kryteria oceny stopy życiowej. Cze-gokolwiek byśmy nie mówili na te-mat kiepskiej jeszcze jakości i szy-ku ubiorów ulicy moskiewskiej — nam, warszawskim „elegantom”, da-leko jeszcze do chwili, by ktokol-wiek z dwu- czy nawet trzytyściecz-nych zarobków miesięcznych na ro-dzinę mógł sobie pozwolić na sa-mochód.

I kiedy w następnych dniach po-tej wizycie obserwowałem rzekę sa-mochodów sunących bez przerwy w 4—5 rzędach po ulicach Moskwy i widziałem wśród nich masę prywat-nych, kiedy oglądałem sklepy pełne niezwykle tanich motocykli, rowe-rów, aparatów radiowych i fotogra-ficznych, adapterów, lodówek, od-kurzaczy, zegarków, mechanicznych zabawek dzieciennych i wielu, wielu innych jeszcze artykułów będących przedmiotem naszego pożądanja — natrętnie przychodziło mi wciąż na myśl wytarte, po tysiącokroć stu-chane, banalne już a jednak doma-gające się swej racji słowo: i n d u s t r i a l i z a c j a .

CO SIĘ NIE ZMIEŚCI

Kalejdoskopem zmiennych i jakże roznorodnych wrażeń przeplętno nam dwanaście dni pobytu w Mo-skwie. Ludzie, myśli i problemy; złote kopuły kremlońskich cerkwi i surowa powaga Mauzoleum, kate-dry i zakłady naukowe, Galeria Tre-tiakowska i Pałac Ostankino, balet, teatr, stereokino, opera — wszyst-ko to przeplętnęło w jakimś za-wrotnym wirze nie dając czasu na refleksje, na ustalenie hierarchii spraw i ocen. Potem pełen szczegó-łnych emocji lot nocny, ładowanie w Rostowie, w południe kąpiel w egzotycznym Suchumi, szmaragdowa glazura Czarnego Morza, bajkowy przelot nad górami Kaukazu i wreszcie... Erywań! Miasto starych le-pianek o płaskich dachach, przylepi-onych niby jaskółcze gniazda do stronnych zboczy, miasto nowej, pięknej, narodowej architektury, miasto nad którym niby nieierała wizja wyłania się śnieżna czapa nie-botycznej Ararat, legendarnego schroniska Noego.

O słoneczna Armenio! Tyle prze-żyć i wrażeń najszerszych budzi w nas twoje wspomnienie, że grzechem byłoby kwitować je kilku zaledwie zdaniami. Niestety, nie zmieści się tu ani opis naszych ar-meńskich szlaków, ani wrażenia z Leningradu. Łamy tygodyna to nie tramwaj warszawski — objętość jest ograniczona. Czas już ukrócić zapę-dy w kierunku literackiej ekspresji doznań turystyczno - krajoznaw-czych, reportaż niniejszy w inten-cjach redakcji miał być poświęcony głównie naukowym wrażeniom.

TO NIE NASZE DEKLARACJE

Czytelnik niewątpliwie się domys-ła, że nie może tu być mowy o szczegółowym sprawozdaniu z te-go, co widzieliśmy w tych kilku-dziestych zakładach naukowych, laboratoriach i instytucjach, które u-dało nam się odwiedzić. Raczej kilka ogólnych wrażeń i refleksji niezbyt jeszcze uporządkowanych, które jednak szczególnie mocno utkwiły w pamięci.

Przed wszystkim więc sprawa, która nas szczególnie uderzyła, a mianowicie rzeczywisty, głęboki, or-ganiczny związek naukowych badań teoretycznych z praktycznymi po-trzebami społeczeństwa. Ileż się w naszej „polskiej” biologii składa na ten temat deklaracji, ile apeluje, argumentuje, teoretycznie uzasadnia, że trzeba, że należy, że wiązanie nauki z praktyką przynosi obopólną korzyść. A rezultat? Jakże często zupełna obojętność a nawet niechęć naukowców w kierunku wykorzy-stania ośrodków produkcyjnych ja-ko bazy eksperymentalnej, jakże często pozorne, naciągane mecha-nicznie nawiązania tematyki prac badawczych do potrzeb praktyki występujące u jednych i wąski em-piryczny praktycyzm u innych bio-logów.

W laboratorium iichtiologii Uni-wersytetu Moskiewskiego dowiada-jemy się od kierownika placówki, prof. Nikolskiego, że z szeregiem pracowników naukowych nie bę-

dzimy się mogli spotkać. Prowadzą oni właśnie badania na dalekich wodach Oceanu Spokojnego, Morza Białego, Kaspijskiego i wielkich rzekach syberyjskich. Przebywają na bazach rybołówczych bądź na pokładach statków rybackich i ko-rzystają z aktywnej pomocy ryba-ków.

STUDENCKIE PRAKTYKI

Co ciekawsze — przebywają tam również studenci, odbywający let-nią praktykę wakacyjną. Przy oka-żi dowiedzieliśmy się, że radziecy studenci biologii odbywają w prze-ciwiństwie do naszych praktykę „produkcyjną” nie jednorazowo, a corocznie. Podczas każdej przerwy wakacyjnej jadą oni na miesiąc bądź z ekspedycją naukową w te-ren (każda niemal poważniejsza placówka naukowa organizuje takie ekspedycje) bądź pracują w jakiejś stacjonarnej placówce naukowej. Bardzo często praca badawcza prze-prowadzana w czasie praktyk na starszych latach studiów służy jako punkt wyjścia do pracy dyplomowej. Jak nas poinformowano, w Związku Radzieckim olbrzymia większość ab-solwentów wydz. biologicznych Uni-wersytetu skierowana zostaje do pracy w licznych instytucjach nau-kowych Akademii Nauk lub po-szczególnych Ministerstw; skierowa-nia do szkolnictwa ogólnego nie przekraczające zresztą 10—15 procent ogółu, traktowane są jako zjawisko przejściowe, (należałoby u nas, w związku z dyskusją nad reformą programów studiów uniwersytec-kich, zastanowić się nad wzbogace-niem form bezpośredniego kontaktu studentów z konkretnym procesem pracy placówek, których kadry ma-ją w przyszłości zasilić).

Wróćmy jednak do prof. Nikoł-skiego. W rozmowie z nami omówił on znaczenie dla rybołówstwa pro-wadzonych przez laboratorium ba-dań nad biologią i ekologią ryb przemysłowych, wskazał jednak za-razem, że bez ścisłej współpracy z odnośnym Ministerstwem i daleko idącej pomocy ze strony tego ostat-niego nie byłoby możliwe prowadze-nie badań na tak masową skalę i osiągnięcie takich wyników.

SPRAWY ATOMOWE I INNE

Ktoregoś dnia pobytu w Moskwie odwiedzamy Instytut Biofizyki Aka-demii Nauk ZSRR. Wspaniała, no-woczesna aparatura, choć i ciasnota niebawiała. Instytut nie ma jeszcze własnego gmachu — jako samo-dzielna placówka istnieje dopiero od dwu lat. Prof. Mowamiary z kie-rownikiem prof. Aleksandrem Kuzinem o podstawowych kierunkach pracy Instytutu, a zwłaszcza o problemat-yce badań nad działaniem jonizu-jącego promieniowania radioaktyw-nego. Prof. Kuzin mówił:

„Żyjemy na początku ery atomo-wej. W najbliższych latach coraz szerzej będą wprowadzone do wszy-stkich gałęzi produkcji zarówno znaczone izotopy, jak i energia ato-mowa. Jest zatem niezbędne jak najgłębsze zbadanie działania ra-dioaktywności na organizm, by usta-lić dopuszczalny pułap natężenia i długości promieniowania wywoł-ującego szkodliwe zmiany w organiz-mie ludzkim. Trzeba również wy-kręć listotę samej choroby atomo-wej, pierwotne reakcje zachodzące w organizmie bezpośrednio po dzia-łaniu promieni, zbadać nie znane do-tąd procesy patogenne w okresie utajonym pierwszych 20—25 dni choroby. Jest to niezwykle ważne zarówno dla lecznictwa jak i pro-filaktyki. Rozpoczynamy również badania nad wpływem promienio-wania radioaktywnego na zmiany genetyczne w potomstwie. Niestety, w tej dziedzinie najmniej dotąd wiemy. Prace nasze idą również w kierunku możliwości wykorzystania promieniowania dla zwiększenia produkcji rolnej i tu mamy cał-kiem niezłe wyniki.

W istocie, w laboratorium widzie-liśmy m. in. ziarna żyta poliploidal-nego, uzyskane z roślin, które wyrosły z ziarna moczzonego i po-danego promieniowaniu. Rośliny ta-kie mają zwielokrotnioną ilość chro-mosomów w jądrach komórkowych i dają ziarna dwu, trzykrotnie większe od normalnych.

Z rozmowy z prof. Kuzinem do-wiedzieliśmy się również, że w In-stytucie prowadzone są m. in. ba-dania nad biofizyką słuchu, ścisłej mówiąc nad wpływem silnych dźwięków, ich różnej intensywności, częstotliwości drgań i długotrwałości na zmiany w aparacie słuchowym i u-kładzie nerwowym. Prace te mają duże znaczenie teoretyczne, ponie-waż jest to dziedzina niemal nie-znana, równocześnie jednak w do-bie wznoszącego przemysłowego i motoryzacji stanowi ona problem o dużej wadze społecznej. Przyto-czone wycinki tematyki prac Insty-tutu oczywiście w żadnej mierze nie wyczerpują całokształtu jego dzia-łalności, niemniej jednak są one typowe.

Oprócz zwiedzania laboratoriów doświadczalnych mieliśmy możliwość

przeprowadzenia w Związku Ra-dzieckim szeregu rozmów na tema-ty ogólnobiologiczne z takimi wy-bitnymi biologami jak prof. Chrusz-czow, Łukaczow, Łysenko, Gusz-czenko, Giliarow, Zawadzki, Baba-dżanian i innymi. Stałym motywem w tych rozmowach było podkreśle-nie konieczności szerszego nawiąza-nia kontaktów z nauką zachodnią oraz ustalenie ścisłej, bliskiej, zor-ganizowanej współpracy naukow-ców krajów obozu socjalizmu.

CO NIEPOKOI U ŁYSENKI

Rozmowa dotycząca zagadnień po-stawiania i istoty gatunku, pro-wadzona w ciągu prawie sześciu go-dzin z Prezydentem Akademii Nauk Rolniczych — Łysenką, wzbudziła we mnie sprzeczne uczucia. Z jednej strony podziw dla tego silnego czło-wieka, który ma za sobą poważny dorobek naukowy (że wspomnę teo-rię stadialnego rozwoju roślin), któ-ry walczy o swoją ideę do końca, który jest dla niej gotów na ofiary, który swój cały system rozumowania podporządkowuje jednej naczelnej myśli nie cofając się przed podwa-żaniem uświęconych kanonów. Nie-wątpliwie z takich ludzi wywodzi się musiele ci, którzy wytoczyli słup-y milowe w rozwoju światowej nauki.

Z drugiej jednak strony szereg niepokojących refleksji: czyż wielkość uczynego nie polega w równej mierze na przekonaniu o słuszności swojej idei jak i na sa-mokrytyce? Czyż odwaga w stawia-niu po nowemu zagadnień nie po-winna się kojarzyć z pieczołowitą analizą strych faktów? Czyż bez-kompromisowa walka o zwycięstwo swoich przekonań w nauce nie o-znacza zarazem szacunku dla rzec-zowych argumentów przeciwnika?

Moim osobistym przekonaniem (które wyniosłem z tej rozmowy) Łysenko w jednostronnej obronie i rozbudowie swojej koncepcji gatu-nku postuwa się za daleko, niefrasob-liwie odrzucając z całego dotych-czasowego dorobku nauki biologicznej to wszystko, co mu stoi na przeszkodzie. Zwalczając przesadnie wy-obrzymienie roli przypadkowości w procesie ewolucji występujące w koncepcjach teoretycznych genety-ki formalnej — Łysenko dochodzi faktycznie do całkowitego przekreś-lenia roli przypadkowości jako nie-odłącznej formy występowania ko-niecznych tendencji rozwojowych. Przytoczmy szczególnie jaskrawe przykłady.

Zgodnie z powyższą postawą me-todologiczną nie mogą zdaniem Ły-senki występować w tonie gatunku zjawiska, które byłyby szkodliwe dla gatunku. Prawem życia gatunku jest, iż wszystko dzieje się z ko-rzyścią dla niego. Tu dochodzi me-tafora filozoficzna: w przyrodzie nie ma Boga, nie ma zatem rozumu. Głupstwa są zaś jedynie tam, gdzie istnieje rozum. W przyrodzie nie ma głupstwa — wszystkie zjawiska życia są skierowane ku pożytkowi ga-tunku.

Mimo woli przypomina mi się zdanie Engelsa, iż z tego rodzaju rozumieniem konieczności nie wy-jdźmy poza ramy teologicznego pojmowania przyrody. Bo to jest teologiczna, niematerialistyczna po-stawa wobec przyrody: nie dociekać przyczyn zjawisk, lecz pytać w ja-kim się one dzieją celu! Powiedze-nie, że zjawiska celowości zachodzą w świecie żywym dlatego, iż życie posiada taką właściwość, jest dla mnie równie pozbawione naukowe-go sensu jak powiedzenie, że dzia-łanie pompy oparte jest na specy-ficznej właściwości materii, która polega na unikaniu próżni!

ZASKAKUJĄCE WNIOSKI

Ta sama absolutyzacja przez Ły-senkę słusznych skądinąd tez wy-stąpiła i w innych zagadnieniach. Stłuszenie zwalczając pojmowanie ga-tunku jako zwykłej sumy, konglo-meratu osobników dochodzi on do traktowania gatunku niemal na wzór jednostkowego organizmu, w którym osobniki odgrywają tę samą rolę co organy w organizmie. Z te-go punktu widzenia bezsensowne jest zdaniem Łysenki traktowanie śmierci osobników np. przy samo-przerzadzaniu się lasu jako skutku konkurencji pomiędzy osobnikami. Podobnie jak usychają poszczególne gałęzie pojedynczego drzewa, tak samo całe drzewa — spełniwszy swoje biologiczne zadanie wytwor-zenia niezbędnego w młodym lesie zagęszczenia chroniącego las od przytłumienia przez inne rośliny, — nie giną na skutek wewnątrzga-tunkowej walki o byt, lecz obumie-rają przekazawszy uprzednio swoje soki żywotne poprzez wspólnie zrosnięty system korzeniowy drze-wom sąsiednim tego samego gatu-nku. Taki przebieg zjawiska jest właśnie w punktu widzenia pożytku gatunku najbardziej racjonalny.

Analogiczne zjawisko wzajemne-go pożerania się gąsienic pewnych owadów w okresie ich masowego pojawiania się nie jest zdaniem Ły-senki przejawem walki wewnątrz-

gatunkowej, lecz tylko wyrazem najbardziej racjonalnego dla gatu-nku wytwarzania i przekazywania substancji pokarmowej, zmagazy-nowanej w poszczególnych larwach. Przejaskrawienie. Wyobrzywienie pewnych tez moim zdaniem prowa-dzi niekiedy Łysenkę do konfliktu z całym dorobkiem nauki. Tak np. z doprowadzonej do skrajności dia-lektycznej tezy o jedności żywego i nieżywego, o bezustannym przecho-dzeniu materii żywej w martwą i odwrotnie — wyprowadza Łysenko uzasadnienie tendencji do rehabili-towania dawno przebrzmiałych w nauce teorii transformizmu a na-wet średniowiecznej koncepcji sa-moródtwa.

Do rozmowy z Łysenką wracam z myślami niejednokrotnie. Niejedno-krotnie wciąż na nowo zadaje so-bie pytanie: jak to jest możliwe, by wybitny uczonec o wielkich zasłu-gach i naukowym dorobku dochod-ził do tak zaskakujących bądź co bądź wniosków? Zasadniczym moim zdaniem błąd, metodologiczny błąd Łysenki polega na tym, że wychodząc ze słusznych, spraw-dzonych w paraktyce tez myślo-wych zawiera on zbytnio rozu-mowaniu dedukcyjnemu. rozszerza nie zawsze poprawnie zakres stoso-walności używanych przez się praw i pojęć, szuka w eksperymencie — jeśli taki jest wprowadzony — nie kontroli, sprawdzenia postawionej hipotezy, a materiału faktycznego przykładów dla jej potwierdzenia.

O SYTUACJI W RADZIECKIEJ BIOLOGII

Szczególnie interesująca, bo od-dająca jak mi się wydaje atmosferę panującą obecnie w bio-logii radzieckiej była rozmowa prze-prowadzona przez nas z kierowni-kiem katedry darwinizmu i cieka-nym wydz. biologicznego Uniwersy-tetu Leningradzkiego prof. Zawadz-kim. Pytamy, jak ocenia on sytua-cję w genetyce.

„Przełom dokonany przez biologię miczurinowską w nowym podejściu do zjawisk życia jest moim zdaniem — mówi prof. Zawadzki — osią-gnięciem trwałym. Powrotu do daw-nej, klasycznej genetyki formalnej z jej korpuskularnymi genami i po-działem organizmu na somę i plaz-mę zarodkową teraz już nie ma. Rzecz inna, że i na zachodzie obser-wujemy obecnie wśród poważnej części genetyków odejście od tych korpuskularnych koncepcji w kie-runku biochemicznego ujawniania zjawisk dziedzicznego. Ja na przy-kład uważam, że w poglądach prof. Haldane’a (Anglia) jest bardzo wiele interesującego. Winniśmy również wziąć pod uwagę szereg osiągnięć jakie uzyskła genetyka zachod-nia, jak np. wyłowywanie powstania i wykorzystanie form poliploidal-nych dla osiągnięcia zwiększonych plonów. Niemniej jednak uważamy, że sesja Wszczęziwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych z 1948 r. stanowiła poważny sukces w rozwoju nauk biologicznych u nas w kraju. Co prawda ja osobiście nie ze wszyst-kiimi poglądami Łysenki mogę się zgodzić — np. z jego ujęciem walki wewnątrzgatunkowej. Jestem rów-nież zżania, że szereg spraw mery-torycznych w sposób niesłuszny zo-stało w 1948 r. przedstawionych ja-ko ideologiczne i tym samym zosta-ły one wyłączone z naukowych dy-skusji. Złe się również stało, że szereg faktów na których się opiera i które tak czy inaczej wyjaśnia genetyka formalna nie było dotych-czas obiektem zainteresowania i ba-dań ze strony uczonych stojących na pozycjach biologii miczurinow-skiej. Najważniejszą sprawą jest, by była w naszej biologii możliwość rozwoju różnych, oczywiście nie-ważnie idealistycznych kierunków. Należy unikać monopolu w nauce. Ja na przykład jestem, jak wiecie, zdecydowanym przeciwnikiem ge-tyki formalnej, sam jednak jako dziekan głoso wałem za tym, by ka-tedre genetyki na naszym wydziale objął prof. Nawaszyn, jeden z naj-wybitniejszych genetyków formal-nych w naszym kraju. Mamy za-miar wspólnie z prof. Nawaszynem wyłonić komisję dla wytypowania problemów spornych i opracowania metod experimentum crucis, które by je rozstrzygały”.

Pytamy z koleí prof. Zawadzkiego o stosunek do prac i koncepcji Le-pieszyńskiej.

„Ja osobiście — mówi prof. Za-wadzki — uważam koncepcję Lepie-szyńskiej za niezwykle płodną hi-potezę roboczą. Sam mam za sobą parę prac eksperymentalnych na roślinach, które wydają się tę hi-potezę potwierdzać. Pracuję u nas prac. Makarow, który powtarzał doświad-czenia Lepieszyńskiej i doszedł do wręcz odmiennych wniosków. Spra-wa jest więc otwarta i należy pro-wadzić dalsze badania w tym kie-runku, pamiętając oczywiście, że mam jak dotychczas do czynienia jedynie ze śmiatą hipotezą, którą należy sprawdzić”.

*

Leningrad był ostatnim etapem naszej podróży. Potem wróciliśmy jeszcze na 3 dni do Moskwy. Przed samym wyjazdem zostaliśmy zapro-szeni na przyjęcie do Prezydium Akademii Nauk ZSRR przez jej Prezydenta prof. Niesmiejanowa. Kiedy znaleźliśmy się przy wspól-nym stole z najwybitniejszymi uczo-nymi Związku Rad — prof. Nies-miejanow wznosił toast za ścisłą współpracę między radzieckimi i polskimi uczonymi, za współpracę i przyjaźń postępowych uczonych całego świata. Bez wspólnej pracy dla dobra ludzkości i szerokiej wy-miany poglądów pomiędzy uczony-mi różnych krajów nauka nie może się rozwijać — powiedział prof. Niesmiejanow. My wszyscy — u-cześnicy wycieczki — jesteśmy jak najmocniej przekonani o głębokiej słuszności tych słów.

Kramik

W Cak Ridge w stanie Tennessee rozpocznie się drugi z rzędu spec-jalny kurs dla studentów zagranicz-nych szkolących się w technice izo-topowej. Udział w nim mają wziąć studenci z Niemiec zachodnich, Grecji, Indii, Włoch, Korei połud-niowej, Filipin, Hiszpanii, Turcji, Syjamu i Pakistanu.

Amerykańskie koła oficjalne za-znaczają, iż kurs zostanie przepro-wadzony w ramach programu Ei-senhowera, dotyczącego stosowania energii atomowej w celach pokojo-wych.

*

W masowych demonstracjach we Francji przeciwko wysłaniu rezer-wistów na akcję pacyfikacyjną do Algieru biorą również udział studen-ci. Ostatnio podczas jednej z de-monstracji doszło do ostrych starć młodzieży z policją, w czasie któ-rych aresztowano 62 studentów.

*

„Washington Post” opublikował w październiku list do redakcji po-dpisany przez niejakiego Justona Case. W liście tym autor zastanawia się nad przyczynami przewagi ZSRR nad USA w dziedzinie szkole-nia naukowców — inżynierów. Mr. Case pisze m. inn.:

„Podróżni przybywający z Rosji, twierdzą—o czym już dawno wiezie-li wszyscy, których interesują fakty — że Rosjanie przyjęli rewolucyjną zasadę wypłacania poborów do-stosowanych do stopnia umiejętności i wykształcenia. Zachęca to do znacz-nym stopniu młodzieży do studiów zawodowych i w rezultacie zapisy na wydziały nauk matematyczno-przyrodniczych rosły niezmiernie z roku na rok. W naszym kraju sytua-cja wygląda zupełnie inaczej. Wy-sokość poborów niekoniecznie za-leży od stopnia wykształcenia”.

Autor uważa, że wysokość zarob-ków obywateli amerykańskich za-

„Bo napisano: wntwecz obróćcie mądrość mądrych, a rozum rozumnych odrzućcie”. „Aby się wiera-
sa nie gruntuwała na mądrości ludzkiej, ale na mocy Bożej”.

(Z I i II listu Pawła do Koryntian)

Gdy dyskutujemy o proble-
mach moralnej" warto-
ści katolicyzmu, warto pamię-
tać o sprawach ogólniej-
szych. Należy o nich pamiętać
choćby dlatego, że nie podobna trak-
tować etyki w oderwaniu od całości
światopoglądowego systemu. Jest
jednak jeszcze inny, bezpośredni po-
wód, dla którego należy rozszerzyć
płaszczyznę naszej dyskusji. Pro-
blematyka intelektualnej wartości ka-
tolicyzmu jest do dziś żywotna.
Świadcza o tym liczne studenckie
dyskusje. I świadcza o tym także,
dość zresztą sporadyczne i defen-
sywne w istocie publikacje prasy
katolickiej.

Oto w „Słowie Powszechnym” u-
kazał się przed tygodniem (nr z 20
listopada br.) artykuł ks. Seweryna
Kowalskiego pt. „O mądrości chrze-
ścijańskiej”. Z obroną stanowiska
apostola Pawła łączy się w nim afir-
macja wyjściowych historycznie i
logicznie też chrystianizmu. Afirmacja
to oczywiście rozumiała. Jej
zaletą jest jasność i prostota zajmo-
wanego stanowiska. Stosunek do
intelektualnej kultury ukazał się
tam z całą jasnością. Jaśniej
zapewne, niż w szeregu apologetycz-
nych prac, w których nie brak
deklaracji o sympatiach dla nauki
jako środka poznania świata (naby
wymienić np. „Kazania” ks. Czujaj).
Jaśniej i bardziej bezpośrednio niż
w pracach, pisanych wyraźnie pod
presją opinii publicznej, usiłujących
podtrzymać wpływ wśród intelli-
gencji. Modyfikowanych więc nie-
zależnie od intencji autorów.

Stosunek światopoglądu kato-
lickiego do nauki kształtuje się
w wielu płaszczyznach problemo-
wych. Nie sprowadza się do kontro-
wersji nauka — religia, jak to sugie-
rują częste studenckie dyskusje i
niektóre wydawnictwa. Tomizm w
toku długoletniego doświadczania
wysunął wiele koncepcji, których
istota sprowadzała się jednak zawsze
do usiłowania rozwiązania tego, co
nierozwiązalne, połączenia ognia i
wody. Naukę próbowano podporzą-
dować bezpośrednio religii. Później
miejsce religii miała zająć tomisty-
czna filozofia. Usiłowano zneutrali-
zować światopoglądową wymowę
przyrodoznawstwa, sięgając tu zre-
szta do pozytywistycznych wzorców.
Głoszono przeciwnie do poprzed-
niej koncepcji fideistycznej wymo-
wy nauki. Porównywano naukę do
religii. Rozbudowano tomistyczną
koncepcję chrześcijańskiej mądrości.
A więc prób było wiele.

Wybermy dla potrzeb wstępnej
polemiki jeden z tych kierunków —
taki, który odgrywa rolę dominują-
cą i jak się wydaje — jest najciszej
związany z wewnętrzną konstrukcją
katolicyzmu. Wybermy taką ten-
dencję, która odpowiada na pewne
intelektualne potrzeby człowieka,
która przynajmniej należy do naj-
mniejszych racjonalnych. A więc
wybermy taką koncepcję, która zawiera
wiele atrakcyjnych momentów.

WYMOWA DOKUMENTÓW

Katolicyzm głosi: całe „doczesne”
życie człowieka winno być przygo-
towaniem do wiekuięstego bytowania
w Bogu. Dlatego też wszelkie po-
znanie warunków tego życia, pozna-
nie świata, ma tylko o tyle wartość,
o ile służy owemu pozagrobowemu
szczęściu. Tak pojęte „poznanie” ma
zaś na celu dotarcie do „śladów
przechodzącego stwórcy” w przyro-
dzie. Nauka nie daje takiego po-
znania. Człowiek winien więc szukać
wiedzy o świecie nadprzyrodzo-
nym i o „ziemskich śladach Boga”
w innych typach poznania: tomis-
tycznej filozofii, teologii, religii, mi-
styce. A zatem wartość nauki w sy-
stemie katolickim ceniona jest naj-
niżej. W hierarchicznej drabinie
„typów poznania” nauka zajmuje
najbardziej upośledzone miejsce.
Przewyższają ją nieskończenie filozofia
(oczywiście tomistyczna), teolo-
gia, religia, a nawet mistyka.

Złudzeniem ulegają ci, którzy są-
dzą, że są to odosobnione lub prze-
starzałe koncepcje. To jest system.
Naszym ewentualnym polemistom
służymy dowodami rzeczowymi. Oto
wypowiedź profesora Katolickiego
Uniwersytetu Lubelskiego z roku
1948:

„Jedno najdrobniejsze twierdzenie
metafizyczne więcej jest warte od
sumy wszystkich odkryć i wynalaz-
ków, do których doprowadziło przy-
rodoznawstwo”. (S. Świeżawski:
„Byt. Zagadnienia metafizyki to-
mistycznej” Wyd. Lublin — KUL,
1948 r. str. 339).

W poznaniu Boga najwyższą war-
tość ma mistyka — dowodzi dalej
katolicki profesor. Tzw. zjednoczenie
mistyczne jest szczytem ludzkich
możliwości poznawczych w najisto-
tniejszych sprawach bytu. Czy da-
leko odśledzimy od XIII-wiecznych
wyobrażeń?

Nauka ma nie tylko najniższą
wartość z wszelkich hierarchicznie
uporządkowanych „typów poznania”.
Nauka w istocie dla zasadniczych
spraw człowieka jest nieprzydatna.
Oto znamiennie wyznaczenie publi-
cystyczne Gołubiewa:

„...nauka przekracza zakres swego
działania, gdy próbuje rozwiązać na
płaszczyźnie wiedzy przyrodznej,
ręcznymi tylko metodami badania,
zagadnienia sensu istnienia człowie-
ka na ziemi, jego celu, prapoczątku
i celu świata, gdy usiłuje stworzyć
moralność, odpowiedzieć na wszyst-
kie pytania, dręczące człowieka. Za-
gadnienia te nie leżą jedynie na
płaszczyźnie wiedzy przyrodniczej
stąd nauka nie posiada narzędzi do
ich rozwiązania, a jeśli się tego za-
dania podejmie, osiągnie wyniki
błędne”.

A więc nauka jest także niebez-
pieczna — jako samodzielna siła.
W istotnych sprawach może człowie-
ka wprowadzić tylko w błąd. Jasne
— wręczać ją winna religia
lub tomistyczna doktryna. Inter-
esujący to intelektualnie ekwi-
walent!

Oczywiście całkowita nega-
cja nauki jest niemożliwa a
nawet niepotrzebna. Wiedza
techniczna użyteczna jest
niezbędna. W zakresie zastoso-
wania do tramwaju, dzwonka
elektrycznego czy szczepienia
ochronnego można ją akcepto-
wać bez światopoglądowych
zastrzeżeń. Byłe nie odnosiła
się do spraw istotnych — do
zasadniczych problemów życia
człowieka. A jeśli już tych ma
dotyczyć kiedykolwiek i jak-
kolwiek — to tylko pod egidą
„wyższych typów poznania”.
Mówiąc po prostu: uzależniona
od kościelno-religijnego dok-
trynalnego dyktatu.

Bowiem nauka wolna i nie-
zależna jest niebezpieczna.
Groźna jest jako środek ludz-
kiego poznania prowadzący
do odkrycia niezmierno-
nych horyzontów świata i
ukazania o nim prawdy. Nie-
bezpieczna jest więc w swej
istocie. Jeśli pasja poznawcza
uczonego nie jest zniewolona
tomistycznymi rygorami —
jest grzechem. A oto autory-
tatywny dokument.

„Wreszcie w ostatnim sen-
sie, w sensie niższym... poję-
cie wiedzy nie odnosi się w
tym wypadku do poznania
szczególnie pewnego i doskona-
łego (czyli wszelkiego poznania
w sensie wyższym jak np. „pozna-
nia” teologicznego, mistycznego itp.
— JK), ale do pewnego rodzaju po-
znania płynącego z ciekawości i wy-
ształconego na czystym zamiłowa-
niu do rzeczy stworzonych... I nig-
dy bardziej jak w tym wypadku nie
sprzeciwia się wiedza mądrości (mą-
drości chrześcijańskiej — JK). Mo-
żna powiedzieć, że jest to wiedza
grzesznika...” (Maritain — „Nauka i
mądrość” str. 11).

Daleko sięga ta swoista pryncy-
pialność katolicka! „Czyste zamiło-
wanie do rzeczy stworzonych” —
zwykła ludzka ciekawość, podziw
dla świata, człowieczy entuzjazm
i pasja poznawcza — to przestęp-
stwa wobec stwórcy. Przyznajemy
choćby, że Maritain ukazał do
końca i bez żenady granice wol-
ności katolickiej myśli. Lecz czy
w granicach tej wolności wolno
myśleć bez myśli o Bogu? Bez-
względny jest ten teocentryczny uty-
litarizm.

Tak jak w zakresie moralnych po-
stulatów, tak i w zakresie intelek-
tualnej wolności katolik jest cał-
kowicie w więzach „tamtego świa-
ta”. Wobec ostatniej instancji meta-
fizycznej, do której miało być za-
wsze wszystko sprowadzane, żalownie
rysuje się wolność i postawa lojal-
nie wierzącego. Zagubiony w sid-
łach systemu, jest wymowną anty-
tezą prometejskich pozycji walczą-
cego człowieka. Jego intelektualna
wolność obwarowana została psy-
chologicznie i doktrynalnie całą ko-
losalnie rozbudowaną siatką zaka-
zów wynikających ze światopoglą-
dowych konstrukcji. Nie zapomnia-
no oczywiście o sankcjach — teza
o normie negatywnej teologii nie-
rzadko znajduje swe zastosowanie.
Aparat doktrynalnego wykonaw-
stwa — np. „Indeks” — pełni do
dziś swą funkcję.

Zapytajmy, co daje się w zamian
za zakazy, za ograniczoną naukę?
Odpowiedź prosta — „wyższe typy
poznania”. Ale daje się także coś
tym, którzy nie obejdą się jawnym
prymitywem myślowym. Ludzie o
intelektualnych ambicjach znajdują
w katolicyzmie koncepcje chrześcijań-
skiej mądrości.

Czym jest ta mądrość? Maritain
pisze:

„Zaszczyt zrozumienia, że mądrość
jest wiedzą... przypada pogańskiej
starożytności. Ale mądrość ta była
„mądrością rozumu, mądrością czło-
wieka... mądrością tego świata, mą-
drością ziemi”. Nie była więc god-
na chrześcijanina, bo grzeszyła py-
chą i pasją poznania. „I kiedy ta
mądrość ludzka chciała się udosko-
nać sama w sobie, wykończyć cał-
kowicie przy pomocy własnych środ-
ków, zeszła wtedy na manowce... i
potępił ją Św. Paweł” („Nauka i
mądrość”, str. 18—22).

Wiemy więc, czym nie jest mą-
drość chrześcijańska i jaki zajmuje
stosunek do kultury klasycznej. Wie-
my też, że „to nie człowiek zdoby-
wa tę mądrość zbawienia, tę mądrość
świętości, ale to Bóg, który nam ją
daje, nie wypływa to z momentu
wniesienia się istoty ludzkiej...”
(tamże).

„Nie wypływa to z momentu
wniesienia się istoty ludzkiej...”
Entuzjaci chrześcijańskiej mądrości
winni rozwijać swe intelektualne
walory poprzez oczekiwanie na Łas-
kę. Ona ma oświecić umysły wie-
rzących i uczynić je sposobnymi do
przyjęcia boskich prawd. I znów
jesteśmy na tropach bierności ludz-
kiej, którą narzuca katolicyzm. Naj-
potężniejszą i najwyższą z poznaw-

czych aktywności, na którą zdobyć
może się człowiek, staje się modlitwa
i kontemplacja Boga. To ustawia
w określonych wymiarach cały
problem i cel intelektualnej aktywno-
ści katolickiej.

We wspomnianym artykule ks.
Kowalskiego koncepcje chrześcijań-
skiej mądrości znajdują swe jak
najbardziej aktualne potwierdzenie.
Dowiadujemy się w nim, że „nie
można bez najwyższego podziwu
czytać tych słów Pawłowych”, słów,
które są potępieniem ludzkiej mą-
drości starożytnych. Ks. Kowalski
z entuzjazmem referuje negatywne
tezy chrześcijańskiej mądrości.

„Mądrość ludzka, owa przewrotna
mądrość, jest głupstwem w oczach
Bożych. Aby zrozumieć Chrystusa
Pana trzeba łaski Bożej...” Jakże są
historyczne i teoretyczne podstawy
tej negacji ludzkiej mądrości? Wy-

powątpiewania niektórych w arty-
kuły wiary nie pchodzą z niepew-
ności przedmiotu, lecz z ułomności
umysłu”. (Tomasz z Akwinu —
„Summa teologiczna”).

Rozumiemy. Pónieważ umysł ludz-
ki sprzeciwia się irracjonalizmowi
wiary — trzeba obwieścić, że jest on
za słaby, by pojąć jej „tajemnice”.
To ma obronić religię przed kryty-
ką rozumu. A wówczas łatwo już
głosić, że umysł ludzki winien bez
szemrania przyjąć fantastyczną do-
ktrynę, która oddaje go pod władzę
kościół i odcina od walki o zwycię-
stwo autentycznych wartości.
Wcale dowcipna kombinacja!

Nie brak będzie pewnie oponentów,
którzy zarzucą mi „mediawis-
tyczne” uproszczenia. Trzeba jed-
nak powiedzieć, że sięganie do To-
masza jest tylko nędznym plagia-
towaniem katolickich filozofów. Oni

Do powyższego wyznania nie już
więcej dodać nie można. I nie trze-
ba.

POSTAWA INTELEKTUALNA KATOLIKA

Oddziaływanie autentyczne pojmo-
wanej doktryny idzie w wielu kie-
runkach. Pierwszy — to ogranicze-
nia stawiane nauce i rozumowi. Ka-
tolik winien uznawać że tylko wów-
czas, gdy służy celom eschatologicz-
nym. Lecz kiedy i jak im służy?
Bacz więc, byś nie zgrzeszył pychą
rozumu lub zwykłą ludzką cieka-
wością. Rozum nie powinien dawać
odpowiędzy na żadne z ważnych
światopoglądowych pytań. Istotne
sprawy wyjaśni jedynie religia.

Bariera zakazów jest bardzo
rozległa. Ale jeśli wierzący ze-
chce ją prawomysłnie uszanować
— jego jakakolwiek wolna pra-
ca intelektualna będzie niesłychanie
ograniczona, wręcz niemożli-
wa. Oczywiście w praktyce
bariery te nie dają się utrzy-
mać. Do sankcji sięga się
więc dopiero w ostateczno-
ści.

Interesujące są konsekwen-
cje praktyczne owego osadu
doktryny, który zostaje w u-
mysle człowieka wierzącego.

Niewątpliwie jest, że przed-
stawione wyżej zakazy i o-
strzeżenia hamują aktywność
umysłu. Nacisk całego tak mi-
sternie budowanego i rozległego
systemu osłabia poznawczy
wysiłek człowieka. Hamuje
samą dążność poznania.

I wydaje się, że opium
władzy o wiele silniej i bar-
dziej przejrzyście wpływa na
intelektualną sferę ludzkiej
świadomości, niż na moralną
postawę katolika.

Ale intelektualne konse-
kwencje katolicyzmu, jego
skutki dla ludzkiej pasji
poznania świata są ja-
skrawo jednoznaczne. Dla
wielu świadomych swej dok-
tryny katolików humorystycz-
nie brzmiałby dziś wywód o
pomocy kościoła dla nauki
i umysłowego postępu czło-
wieka. Te iluzje od czasów śred-
niowiecza wielokrotnie były rozpra-
szane. A i pozycje neutralności sta-
ją się dla coraz szerszej liczby ludzi
problematyczne.

I ten stan rzeczy wynika nie tylko
z teorii, którą przy pomocy tysięcy
środków i na tysiąc sposobów po-
daje się wierzącym. Osłabienie in-
telektualnej aktywności wierzącego
człowieka jest również wynikiem sa-
mej jego wiary. Nawet tej w „naj-
czystszej” postaci. Nastroj religijny
i stan religijnej świadomości sprzy-
jają bowiem nie tylko moralnej u-
cieczce od spraw „świata tego”. W
jeszcze silniejszym natężeniu religia
wpływa ujemnie na intelektualne
dążenia człowieka.

Świat kryje jeszcze dziś wiele
„dziwów przyrody” i tajemnic bytu.
Do wyjaśnienia ich wiodą dwie dro-
gi: droga badań, analizy i ekspery-
mentu lub droga jakże łatwiejsza i

mentu lub droga jakże łatwiejsza i
dla wielu jeszcze pociągającego
„wyjaśnienia” religijnego.

Filozofia katolicka usłużnie i szyb-
ko podsuwa zdziwionemu czy nawet
przestraszonemu człowiekowi wytłu-
maczenie wszystkiego, co jeszcze
niezrozumiałe. Wyjaśnienie intelek-
tualnie bardzo proste. Łatwe do osią-
gnięcia, a jednocześnie urzekające
swą pozorną głębią, mądrością
wniknięcia w tajemnice stworzenia.
Tania to mądrość i łatwa to „odpo-
wiedź”. I jej zewnętrzne walory
głębi, efektywności, stanowią ten
urok powszechny i dla wszystkich
dostępny, który decyduje o łatwym
przyjęciu i uznaniu religijnych, to-
mistycznych wyjaśnień. To wyjaśnia
tajemnicę praktycznego trwania ka-
tolicyzmu na polach intelektualnych
potyczek.

Dla wielu ludzi otrzymanie goto-
wej odpowiedzi jest wygodniejsze,
niż uparty i ciężki trud samodziel-
nego myślenia. Dla wielu praw-
da nauki jest jakaś sucha, mało
romantyczna. Nie pozostawia miej-
sca na te piękne przecież złudzenia,
które wyniosło się z domu rodzin-
nego, ze środowiska intelektualnego
dzieciństwa. Nauka podważa na-
dzieje na łatwą realizację pragnienia
nieśmiertelności. Nauka wskazuje
drogę ciężkiego trudu umysłu i ręk.
Katolicyzm zaś daje tak łatwą reali-
zację wszelkich marzeń. Nie kon-
troluje rozumem metafizycznych
fantazji człowieka. Co więcej, pod-
syca je i obiecuje spełnić wielkie
pragnienia. Nie zna granic w pro-
wadzeniu człowieka po krańcie ulu-
dy. A droga złudy łatwiejsza jest,
jak wiadomo, niż droga znoju i tru-
du.

Katolicyzm kształtuje zatem i pod-
syca mistyczne skłonności czło-
wieka. Pozwala zachłysnąć się „dzie-
łem stworzenia” i nakazuje szukać
tego, co „poza przyrodą”. Obiecuje
„rozszerzyć” granice poznanego i
niepoznanego świata przyrody —
otworzyć przed człowiekiem cudow-
ny świat metafizycznej bajki, w
którym wyczarowane są wszelkie
nadziemskie i ziemskie wspaniałości.
Katolicyzm odpowiada więc na pra-
gnienie najgłębszego „poznania”, się-
gnięcia poza dostępny i widoczny
świat.

Katolicyzm kontynuuje po dziś
dzień jedną z największych ludzkich
intelektualnych tragedii. Wykorzy-
stując pragnienie ludzkie — daje
zmistyfikowaną odpowiedź o niesły-
chany wprost ładunku szkodliwo-
ści. Daje łatwą i ponętną odpo-
wiedź na pragnienia człowieka —
kierując go na drogę metafizycznej
fantastyki. Tym samym sprowadza
człowieka z drogi jakże ciężkiego
i trudnego, ale jedynego praktycznie
skutecznego wysiłku rozumu. Z je-
dynczej drogi, na której może objawić
się człowieczeństwo.

I wówczas gdy zastanawiamy się
nad moralną wartością katolicyzmu,
gdy ważymy swój sąd o teoretycz-
nych i społecznych konsekwencjach
doktryny winniśmy pamiętać także
o dodatkowym, ale niebiałym czyn-
niku. Winniśmy pamiętać o inte-
lektualnych wieżach i bezdrożach
teorii chrześcijańskiej mądrości.

NASZA WYSTAWA

BARBARA JONSCHER



Z cyklu: kolorowe rysunki



Foto: W. Luterek

Jest kawaler przyjęty. Bóg litościwy przysiał go do mas, by miał dach nad głową i opiekę. Niech pójdzie do kapliczki i podziękuje mu za to. Niech jeszcze pamięta, że tutaj ma wrócić. A kapliczka jest w końcu korytarza.

W kaplicy było pusto i cicho, jedyne światło wiecznej lampki błyszczało w zamysleniu przed ołtarzem Boga. Marcin uklęknął na jednym z klęczników i zaczął się modlić.

Drzwiami od zakrystii weszła zakonnica i przesuając ziarna dużego różańca usiadła w ławce przy ołtarzu. Jej uważne spojrzenie spoczęło na Marcinie, ale on pogrążony w modlitwie nie widział tego. Przed nim był Bóg, któremu zwierzał swe troski.

Wkrótce skończył modlitwę i pełen dobrych myśli poszedł do biura. Zapukał i otworzył drzwi. Zakonnica, od której promieniowało zdrowiem i siłą, przestała się bawić małym krzyżykiem i usiadła wygodnie w głębokim fotelu. Przełożona szpitala, wysoka, lat około czterdziestu, ubrana w piękny ciemnozielony habit spojrzała przyjaźnie w jego stronę — tak samo jak przed pół godziny, gdy przyszedł tu pierwszy raz.

— No i co, pomodlił się kawaler?

Marcin odpowiedział kiwnięciem głowy.

— Niech podejdzie bliżej. Czemu taki nieśmiały?

Kiedy Marcin uczynił jak mu kazano, Przełożona zwróciła się do siedzącej w wygodnym fotelu zakonnicy:

— Siostro Anno, oto nasz kawaler — biedna sierotka. Należy go przygarnąć, bo zginie w świecie, który jest taki zepsuty i taki chciwy. Niech mu się siostra przyżyje: twarz wynadźniała, pod oczami sinice... a odzież jaka! Brudna koszula, marynarka ledwie się trzyma całosci, spodnie połatane aż strach i z butów palce wychodzą. Damy mu pokioiczek, gdzie mieszkał nasz bogobojny Adam. Niech pracuje na chwałę Bogu, a sobie na pożytek.

Po tych słowach Przełożona szpitala wstała od bogato rzeźbionego biurka, a Marcin uniesiony wdzięcznością podszedł i ucałował jej wypięgoną rękę.

— Siostro Anno, trzeba jeszcze dać kawalerowi obrazeczek, niech powiesi go sobie nad łóżkiem.

Siostra Anna wytarła dużą chustką czerwony jak marchew nos, wciągnęła pełne płuca powietrza i wyrzuciła jednym tchem:

— Ależ naturalnie, proszę Matki. Taki młody kawaler i miałby mieszkać bez żadnej świętości? Dostanie jaki tylko będzie mu się podobał.

Przełożona nie odpowiedziała nic na to, tylko zwróciła się do Marcina:

— A teraz niech kawaler zaczeka na korytarzu. My z siostrą porozmawiamy jeszcze.

Marcin skłonił się nisko i wyszedł. Korytarz o sztokawym sklepieniu, okna jak w kościele z wiel-

ką ilością kolorowych szwek, przechodzące zakonnice z wielkimi motylami na głowach — jakie to wszystko ciekawe i niecodzienne. A jaka dobroć! Przełożona — to chyba święty człowiek. Jak dobrze, że tutaj będę pracował.

A zakonnice tymczasem rozmawiały:

— I co o nim siostra myśli?

— Ano, przyzwyczajony do biedy, a to najważniejsze, bo zadowolony się tym, co mu damy. Tylko strasznie drobny i zasuszony jak patyk, aż się lękam czy sobie poradzi... lecz gdzie go nasza Matka zechce umieścić?

— U siostry Benedykty, bo najwięcej się żali na brak personelu. Dam go do niej za posługacza.

— O! to powiem jej o tym — niech się ucieszy!

— Nie potrzeba. Siostra Benedykta była w kaplicy, by go sobie obejrzeć. Tylko Jakubowi proszę powiedzieć, żeby rano przyszedł po niego i zaprowadził na oddział.

— Uczynię jak Matka każe — i siostra wstała ociężale z fotela, by się zająć czekającym na korytarzu Marcinem.

Przeszli przez utrzymywane w największym porządku podwórze do następnego budynku. Był większy i bardziej nowoczesny. Na białych krzesłach ustawionych szeregiem pod ścianą czekali ludzie w obszer- nym holu, najwidoczniej na poradę lekarską. Powietrze było ciężkie, nabrzmiało lizolem. Tu i tam na wysokich stojakach stały spiuwaczki. Za drzwiami z czarnym napisem: „Ambulatorium chirurgiczne”, poje- kiwał ktoś głośno. Marcin przyspieszył kroku. Doszli do windy. Zako- tyłała się lekko i pojechali w górę. Wreszcie byli na miejscu. Wąski, słabo oświetlony korytarz. Zakurzona drewniana podłoga. Marcin liczył drzwi: pierwsze, drugie, trzecie... zatrzymał się przy czwartych. Siostra Anna otworzyła je kluczem i weszli do środka. Marcin spojrzał zaciekawiony: brudne, pochyle ścia- ny związane sufitem jakby celowo, by nie runęły na wyniszczoną pod- łogę, żelazne łóżko zarzucone kocem, stół kulejący na jedną nogę, szafa z ledwością trzymająca się ku- py i małe okienko patrzące prosto w niebo. To wszystko.

— Adamek bardzo sobie ten po- koik cenił—ciepło tu jak w banieczce i cicho. Można się skupić i pomyśleć o Bogu. Matka nasza wie, co się ko- mu należy. Kawaler przeszedł dużo biedy — więc myśli o nim jak pan dobrotliwy o słudze swoim. Niech Bóg najlitościwszy ma go w swojej nieustającej opiece i błogosławi na nowej drodze.

Drzwi się zamknęły i Marcin zo- stał sam. Postawił pod ścianą swój

drewniany kuferek, rzucił na łóżko stary płaszcz kolejarski i pogwizdu- jąc z cicha, usiadł na skrzynce za- stępującej stołek. Grzywa czarnych jak sadza włosów zsunęła mu się na czoło. Odgarnął je do tyłu.

Całkiem przyjemny pokój, tylko trzeba będzie posprzątać, bo brudno aż strach. Adam widocznie nie dbał o to. Nareszcie koniec z dworcową ławką, z bezowocnym łażeniem po ulicach. Praca, mieszkanie — to przecież wszystko — całe szczęście. Jednak Pan Bóg pamięta o ludziach i kieruje nimi. Któż inny jak nie on skierował tu jego kroki?

Odgarnął znowu włosy i spojrzał zamyślony.

Na stole najspokojniej w świecie siedziała mysz. Jej małe, okrągłe jak paciorki oczka przyglądały mu się uważnie. Marcin podszedł do stołu, lecz zdumał się jeszcze bardziej, gdyż mysz zamiast uciekać, cofnęła się tylko.

— Oswojona czy co? Uradowany tym dobył z kieszeni kilka okruszyn i wysypał je na brzegu stołu doda- jąc przytem głośno:

— Masz, jedz, bo na pewno jesteś głodna, a z głodem nie ma żartów.

EUGENIUSZ KOBYLECKI

Przecież wiem dobrze, co to znaczy. Głodowałem już nieraz...

Październikowy dzień zbliżał się ku końcowi. Zarzucone wy'artym kocem łóżko kusilo. Jak dawno nie spał w łóżku? To przecież już dwa tygodnie, zaraz po wyjściu ze szpi- tała. Rozebrał się przedko, zmówił pacierz i wszedł pod koc. Łóżko za- skrzipiało na wszystkie głosy od ra- zu. Starał się leżeć spokojnie bez poruszenia. Powieki ciężły coraz bardziej. Wreszcie zamknęły się szczelnie i przyszedł sen.

Duży pokój, ciężkie, dębowe me- ble, podłoga zaścieleną kudiatym dy- wanem, firany zwisające ciężko z okien. Marcin stoi pośrodku pokoju i nie wie jak zacząć. Siedząca za biurkiem zakonnica podnosi głowę od grubej książki i patrzy uważnie na niego. Już wie wszystko. Przy- szedł szukać pracy. Zastanawia się chwilę, a potem mówi: dobrze, bę- dzie pracował. Marcin widzi siebie chodzącego w białym, dobrze odpra- sowanym fartuchu. Wszyscy patrzą na niego przyjaźnie. Zmienia chorym opatrunki, podaje lekarstwa. Już skończył. Idzie umy' ręce. Woda jest jakaś mętna i szczyplie lekko. Umył ręce i znowu wraca do cho- rych, lecz zaniepokojony mocno — szczypanie nie ustaje jakoś, lecz podnosi się od rąk wyżej i wyżej,

rozchodzi się na cate ciało. Wreszcie wszystko gdzieś znika: oddział, cho- rzy, zostaje tylko biała plama i ja- kis dziwny lęk.

Marcin budzi się. W pokoju jest zupełnie ciemno. Leży przez chwilę i zbiera rozsypane myśli. Szczypanie zmieniło się teraz w dotkliwe pie- czenie. Co to jest?! Wyskoczył z łóż- ka i zapalił światło...

Ukryte w szczelinach tynku plusk- wy, wyszły na żer. Było ich pe.no na wszystkich ścianach i na suficie. Na poduszce i lichym prześcieradle mieniły się plamki świeżej krwi...

*

Jakub polecenie siostry Anny wy- pełnił sumiennie. Zaprowadził Mar- cina na oddział, gdzie sam pracował, dał mu nieprany od dawna fartuch i bez większych ceremonii pouczył co ma robić:

— Jo zajme się ścieleniem łóżek, ty zaś pozbiraj „kaczki“ na salach i pumy! uczciwie, by nie śmierdzio- ły. Przyjde potym łobezryć.

Marcin patrzył na niego uważnie i myślał: ciekawa twarz, jak wy- dziobany przez wróble słonecznik, srogie oczy patrzące zezem zza oku-

larów i twardy nieco ochrypły głos, ale w sumie — to dobry musi być człowiek.

Korytarz był długi i mroczny, po- siadał tylko dwa okna. Szare ścia- ny i wielki krzyż żelazny na jednej z nich dodawał mu jakiejś smutnej powagi. Cierpka woń lekarstw przy- prawiała o zawrót głowy. Pootwie- rane sale były przeładowane chory- mi i przesycone mdławym zapachem ropy i moczu.

Ciekawe spojrzenia chorych onie- śmielały Marcina, a „kaczki“ pełne po nocy mocno rudawej treści pa- chną przykro. To nie bułki świeżo wyjęte z pieca — myśli Marcin i spieszy się z robotą. Bierze po pieć, po sześć na raz, byleby jak najprę- dziej ukryć się w ubikacji i skończyć z tym wszystkim.

Otwiera okno i wylewa jedną po drugiej do zlewu. Wreszcie próżne i popłukane ustawia na regale szy- kami od prądu. I tak mu mija dłu- ga godzina.

Siostra Benedykta przyszła na od- dział. Jej krótki, zły głos słychać było wciąż w innym miejscu. Nawet staremu Jakubowi dostało się za coś. Wreszcie weszła do ubikacji. Marcin spojrzał i wywnioskował od razu, że z nią żartów nie będzie: — gruba, wysoka, patrząca z góry jak

żandarm — chronić mnie święci anieli przed nią i jej gniewem...

— Kawaler jeszcze tu! A kory- tarz, a sale — kiedy je myśli wy- świecić? Niech tak nie stoi i nie pa- trzy na mnie, tylko bierz się do ro- boty. Tu nie łączka, tu trzeba po- rzadnie zakasać rękawy. W brudow- niku jest wszystko co kawalerowi będzie potrzebne: wiadro, miotła i froterka. A brudownik jest zaraz przy ubikacji...

Marcin froterował korytarz — najpierw jedną, a następnie drugą stronę i znowu od początku — chciał swoją pracę wykonać jak najlepiej. Na czoło wystąpiły mu gęste krople potu. Otarł je rękawem brudnego fartucha i pracował da- lej.

— Prędzej, prędzej — skrzypiała ciężka froterka.

Zatrzymał się. Od końca koryta- rza wołał Jakub.

— Niech no idzie, niech weźmie od chorygo „gitare“. Czegu?? To nie wi, co to jest „gitara“? Uuu, to nie- dobrze...

— I czemu kawaler stoi?!

— ...Bo pan Jakub prosił...

— Nic pan Jakub! Kawaler bę- dzie robił, co ja rozkażę... I dlacz- ego najpierw sal nie froteruje, tylko korytarz?

Marcin bez słowa poszedł na sale. Froterował, a ręce mdlały mu coraz bardziej. Nie był jeszcze wdrożony do takiej pracy i płacił za to pod- wójnie — całym zapasem sił jakie posiadał w drobnych i zasuszonych mięśniach.

— Odpocznij, człowieku — pora- dził któregoś z chorych, lecz froterka skrzypiała swoje: „prędzej, prę- dziej“. Korytarz trzeba dokończyć...

— Co teraz mam robić? — zapy- tał nieśmiało, stojąc w drzwiach dyżurki.

Siostra Benedykta odwróciła nie- chętnie głowę.

— Niech wyniesie pomyje i kosze ze śmieciami i niech przedko wraca...

Kubły były ciężkie, lecz Marcin bał się odpocząć. Dopiero w sutere- nach zatrzymała go siostra Anna, gdyż przechodziła tamtędy. Pochwa- lił Boga i skłonił się nisko.

— No i jak tam, kawalerze? I jak się powodzi? — zapytała troskliwie.

— Dobrze, proszę siostry.

— To pięknie, że kawaler zado- wolony. — A jak w pokoiku? Jak noc przeszała?

— Dobrze, tylko pluskwy...

— O! Co też kawaler opowiada! Pluskwy? Adamek nigdy nie wspo- minał o tym... A czy był już dzia- siaj w kapliczce? Czy choć raz po- myślał o Bogu?

— Nie, nie byłem, ale pójdę.

—Trzeba chodzić, kawalerze, bo inaczej opatrność boża przestanie czuwać nad nim...

— Niepotrzebnie ją zgniewiałem — pomyślał Marcin.

W słabo oświetlonym pomieszcze- niu stały beczki. Kwaśna woń po- myj uderzyła Marcina w nozdrza. Opróżnił pospiesznie kubły i poszedł na oddział. Idąc, myślał o Adamie — kim był? Co robił? Czego siostry tak wspominają o nim? Próbował wyobrazić go sobie, ale nic z tego. A może tak zapytał Jakuba? On bę- dzie wiedział na pewno...

Jakub pchał zaścieleny biało wó- zek, lecz kiedy zauważył wracają- cego Marcina, zatrzymał się.

— Dobrze, że przyszedł. Pomoży mi chorygo położyć, bo se som nie poradzę.

Marcin postawił kubły pod ścianą i rozejrzał się, czy przypadkiem nie ma w pobliżu siostry Benedyk- ty. Podszedł do Jakuba i razem po- pchali wózek. — Zapytać, nie za- pytać? Ale czemu nie? Jakub ma tylko surową minę, a poza tym? Przecież powiedział mu dzisiaj ra- no po piekle na korytarzu: „Una tak zawsze, ta siostra Benedykto, ale ty się nie kłopotcz, rób swoje i dobre“...

— I czego stanął?

— Kim był Adam? Może mi pa- powie coś o nim?

Jakub spojrzał zezem zza okuła- rów.

— A nu, Odum? Był tu toki. Po- długoc jak i ty. Robił, robił aż mu sie zmarło.

Marcin nie pytał już więcej. Otworzył pospiesznie drzwi i wje- chali na salę...

*

Przeszło kilka dni, potem minął tydzień i Marcin przyzwyczaił się

jakoś. Poznał szpital, ludzi z który- mi pracował i zaprzyjaźnił się z Ja- kubem. Było mu łatwiej. Stary wy- ga uczył przecież jak ma pracować. Dbal o to, by nie chodził głodny. — „Ud tego jest kuchnio na łoddziole, by sie najeść“ — mawiał przy każ- dej okazji. Marcin uznał to za słu- sne. I życie układało się jakoś, lecz wracająca choroba wkrótce podsta- wiła mu nogę. Podwyższona ciepło- ta, ból w prawym barku — i nie- pokój jak pijawka przylgnał do ser- ca.

Ubierał się do pracy, lecz już bez wszelkich złudzeń. Bark był zaog- niony mocniej niż wieczorem, a gdzieś głęboko w tkankach uderza- ły małe młoteczki — silnej i sil- niej...

Przy froterce trzeba było zacisnąć zęby. Z każdą chwilą jakby rosła w ciężar. W oczach kołowały maleń- kie krążki. Było ich coraz więcej, lecz Marcin nie podał się choro- bie. Skończył froterowanie i zaczął czyścić okna. Przy otwieraniu jed- nego z nich podniósł bardziej rękę i nastąpiło to, czego się spodziewał: ropa przebiła skórę. Gorąca strużka szybko spływała po ramieniu. Led- wie utrzymał się na drabinie. Na domiar złego przyszła siostra Bene- dykta obejrzeć pracę.

— Co to sobie kawaler pozwala? Widzę, że chleb mu w głowie prze- wrócił. Godzinę czyścić jedno okno! Przecież wie dobrze, że dzisiaj wszystkie musi poczyścić!

— Nie mogę — próbował uspra- wiedliwić się Marcin.

— A to dlaczego?!

— Boli mnie w barku. Wrzód się otworzył.

— Więc jest chory?! I co sobie teraz myśli? — Położyć się do łóż- ka?... Niech zaraz przyjdzie do dy- żurki!

Siostra Benedykta obejrzała cho- re miejsce. Ropa sączyła się nadal.

— To kawaler już przedtem cho- rował?

— Tak. Miesiąc.

— Miesiąc?! I czemu nigdy nie wspominał o tym?

— Wygoiło się. Przyszedłem tu zdrowy. Więc po co było wspominać?

— Niech sobie weźmie gazę, ban- daż i kawałek waty. Niech poprosi Jakuba, by mu zrobił w łazience o- patrunek i do roboty. Nie jest aż tak źle, by nie mógł pracować...

Kiedy Marcin wyszedł z dyżurki, siostra Benedykta zamknęła za nim drzwi i podeszła do telefonu.

— Matka Przełożona?... Ja w sprawie Marcina. Otworzyła mu się przetoka w barku... Nie, chorował już poprzednio. Tak, potrwia długo — może nawet kilka miesięcy. Tak. Prawdopodobnie kość się psuje. Tak... Zawcasu należy coś postano- wić. Dobrze, proszę naszej Matki, przysyłę go zaraz. Tak. Co z głowy, to z głowy...

Marcin zaniepokoił się mocno. — Po co do Przełożonej? — rozmyślał idąc do niej... Stał już pod drzwia- mi. — Nie, to niemożliwe... Ona jest taka dobra — pewnie każe mnie le- czyć, przecież tu zachorowałem... Nie ma co. Trzeba wejść do środka.

— Pochwalony Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków... Słyszał, że kawaler zachorował — raczej, że był już chory — tylko nie powie- dział nam tego. Pewnie myślał, że popracuje dzień albo dwa i znów położy się do łóżka, a siostry będą płaciły za leczenie. Żal mi kawale- ra, ale Bóg miłościwy nie weźmie nam tego za złe, jeżeli wymówimy kawalerowi posadę... Nie-h zapaku- je, co ma, a klucz od pokoiiczku od- da portierowi. To wszystko. Niech już idzie. Bóg dobrotliwy nie wy- puści go ze swojej wszechmągącej opieki, lecz będzie pomagał na tym padole cierpienia. My także będzie- my się modliły do niego za kawale- ra...

Marcin wrócił do swego pokoju zupełnie złamany. Żal ścisnął mu gardło, a w piersi rozszalał się roz- pacz...

— Dokąd pójść? Co zrobić ze so- bą?...

Zaczął pakować swoje rzeczy. Nie było ich wiele. Zamknął kuferek i podniósł głowę. Z szuflady wyszła mysz i przycupnęła na stole — jak zawsze, gdy Marcin wracał do do- mu. Nowa fala żalu uderzyła a go w piersi, a po policzkach stoczyły się dwie duże łzy.

Ubrany w płaszcz z dziurami na łokciach, z drewnianym kuferkiem w ręce, stał pośrodku pokoju zgar- biony jak starzec. — Więc już nig- dy tutaj nie wróci? Znowu w świat ale dokąd? Spójrz! Czułe po odrpa- nych ścianach. Nad łóżkiem wi- siał mały obrazek, podarunek oo siostry Anny. Zdjął go ze ściany i wpatrywał się długo. Z rąk Chry- stusa ubranego w piękną szatę spły- wały promienie łask na małe owieczki cisnące się do jego kolan. Oczy uśmiechały się dobrotliwie. Marcin uczył dotkliwie zimno, a ser- ce rzucało się w piersi jak ptak zla- pany w sidła. Dłoń jego zaczęła się zamykać powoli, powoli, z okrut- nym rozmysłem. Jeszcze i jeszcze... Wreszcie zamknęła się zupełnie — aż do bólu.

Na podłogę upadła nieforemna galka zduszonego papieru,

ANDRZEJ WIRTH WARSZTAT REŻYSERSKI MŁODYCH

Sean O'Casey „Cień Bohatera“ tragedia w dwóch aktach; przekład i reżyseria Zygmunt Hubner PWST, i Bronisław Pawlik PWST. Dekoracje Romuald Nowicki; kostiumy Irena Nowicka. Dyrektor Erwin Axer.

Stosunek naszej krytyki do stylu reżyserii jest doskonale indyferent- ny. Przyczyny widzę dwie: nader skąpa aparatura pojęciowa recenzen- tów teatralnych, którym brak nieod- zownych kryteriów, oraz fakt, że in- dywiduałności reżyzerskie nie są dzia- siaj najsilniejszym elementem nasze- go teatru. Wiele zresztą zrobiono w tym kierunku, aby reżyserom unie- możliwić korzystny rozwój. Myślę tu o nieprzestrzeganiu zasady zespło- łości, „jeden zespół — jeden kie- rownik“, która zdaje się być nieod- zownym warunkiem powstania te- atru o własnym obliczu artystycz- nym. Ale nawet tam, gdzie mamy do czynienia z wybitną i ostro zaryso- waną indywidualnością reżyerską, krytyka nasza potrafi się zdobyć tyl- ko na ogólniki i oceny zdawkowe. Co wiemy o stylu reżyserii Axera, Bardiniego, Rotbauma, Szletyńskie- go, Wiercińskiego? Kto opisał poety- kę Leona Schillera w sposób odpo- wiadający wielkości jego sztuki? Za- danie nie spełnione wobec artystów najsłynniejszych nie jest w ogóle spełniane w codziennej praktyce krytycznej. A cóż mówić o przedsta- wieniach debiutanckich, o tzw. „war- sztatach reżyzerskich“, tych prawie w ogóle się nie zauważa. W tym wy- padku są zresztą powody istotne u- trudniające wydanie odpowiedniej oceny, a niemal zupełnie wyklucza- jące krytyczną prognozę.

Dwóch młodych zdolnych ludzi wyreżyserowało inteligentnie współ- czesną sztukę irlandzką. Co tu po- chodzi od jednego, co od drugiego, a co od kierownika artystycznego te- atru? Czy narzucona przez obyczaj

szkolny współpraca jest związkiem przypadkowym, czy okaże się zwią- zkiem trwałym? Co okaże się jedno- razowym „chwytmem“ reżyzerskim, co stałą znamionną cechą sztuki? W jakim zakresie potrafią wpłynąć na aktorów, jaką mają koncepcję za- chowań aktora? Tyle pytań, tyle nie- pełności. Jak tu się ważyć na arbi- tralną ocenę tego, co ledwie zaryso- wane, co uawnić się może tylko w długoletniej praktyce? A jednak również dalekie od prawdy byłoby twierdzenie, że o przedstawieniu młodych nie można powiedzieć nic pewnego. Trzeba tylko poprzestać na opisie raczej, niż ocenie, a ocenom nie nadawać waloru ogólnego. Do jed- nej wszakże oceny ogólnej skłania krytyka „Cień bohatera“, do oceny sięgającej do starostwieckiego poję- cia „smaku“. Bo przedstawienie wy- reżyrowane jest właśnie z niewąt- pliwym „smakiem“, jest jakoś nowo- cześnie dyskretne w tym sensie, że reżyseria nie rezygnując ze stałej in- gerencji w organizowaniu scenicznego materiału, potrafi jednak też inge- rencję uczynić naturalną i prawie niedostrzegalną. Zbliża się tym do koncepcji stylu głoszącej, że najlep- szym stylem jest ten, który ukrywa swoją zasadę. Mówiąc o „smaku“ młodych reżyserów myślę jeszcze o niewątpliwiej dążności do kompono- wania scen w „obrazy“, ale bez po- święcania fetyszowi malarstwu rze- czywistej, wyznaczonej akcją funk- cji poszczególnych scen. Można u- trzymywać, że to zasada wszelkiej dobrej reżyzerskiej roboty, ale w ta- kim razie trzeba również powiedzieć, że dobra robota reżyzerska jest rzad- kością.

Na szczególną uwagę zasługuje sposób wiązania arrangements sce-

nicznych ze świetną dekoracją Ro- mualda Nowickiego. Oto np. w sce- nie Minni — Donald prosta szafa staje się osiłą kompozycyjną układu; w scenie z Mulliganem rolę tę odgry- wają otwierające się do wewnątrz drzwi; podobne znaczenie potrafi re- żyser nadać stolikom z maszyną. W „Cieniu bohatera“ inicjatywa sce- nografa i reżyserów spotkała się w szczęśliwym punkcie. Sprzęty wcią- gnięte są w akcję, stółik z maszyną staje się twierdzą, spoza której Do- nald bezskutecznie broni swego spo- koju i prawa do skupienia przed a- takami nieznosnego gaduły. Seumas znów włada całą prawą stroną sceny. Stąd, okopany w łóżku, ostrze- liwuje zaczepnie Davorena pytaniami i odpowiedziami, których sam so- bie udziela. Taka sytuacja daje moż- ność komponowania kontrastowego, z której rzęcznie skorzystali reżyserzy. Davoren, z kocem niby togą zarzu- coną na ramię, jest zabawnie po- sągowy i heroiczny — Seumas nato- miast rozśmiesza swoją ubogą, lecz pretensjonalną mieszczańską ele- gancją.

Reżyserzy zdają się kłaść nacisk na to, aby aktor grał całą sylwetką, nie tylko twarzą. Pomogły w tym kostiumy, lecz kostiumy to jeszcze nie wszystko. Jak umiejętnie wygry- wał sylwetkę dla pogłębienia cha- rakteru postaci pokazał Kęstowicz w roli Tommy Owens'a.

Widzę w warsztacie reżyzerskim Hubnera i Pawlika wyniesioną chy- ba ze szkoły Axera dążność do roz- kładania fabuły na elementarne za- rżenia i do budowania akcji scenic- znej z takich elementarnych, staran- nie opracowanych zdarzeń. Taka „atomizacja“ fabuły wymaga ciągłej troski o kompozycję całości, o sce- niczną syntezę. Nie zawsze to się u- daje. Jako przykład może służyć epi- zod z panem Gallober, opracowany

Jeszcze przed rokiem zdobywali się na odruchy gniewu, zniecierpliwienia, buntu. Chciano się, marzyło — młodzieży filmowej — rozruszanie leniwego nurtu naszej kinematografii. Roily się ambitne plany, których motorem nie była na pewno intratna umowa o dzieło. Z utyskiwań nad filmami „dorosłych” wylaniało się nieodparte pragnienie: robić filmy lepsze, lepsze, lepsze...

Było w międzyczasie parę nieudanych dyskusji o kadrach filmowych. Zdarzyło się sporo zażaleń i protestów. Do CUK-u, do różnych redakcji, do władz partyjnych napływały listy. Czy były czytane?

Jesień 1955 r. Pisze do mnie dawny przyjaciel, absolwent szkoły filmowej:

„Nie raz i nie trzy razy w miesiącu powraca myśl, by rzucić ten cały film. Wziąć się — jak mawiała ciotki — do „uczciwego zajęcia”. Co — położę krzyż na pięć lat studiów, na wszystkie zamiary? Zrezygnować z marzeń? Przyjeżdż do Łodzi. Zobaczyć, jak podobnie myśli wielu z młodzieży filmowej...”

Przyjeżdżcie do Łodzi. Spróbujcie dziś odnaleźć wśród młodych absolwentów, wśród słuchaczy wyższych lat PWSF, ślady niedawnego buntu, pasję naprawy kinematografii. Spróbujcie rozmawiać z obecnym V rokiem — na co stawiają w przyszłej swojej pracy. Nie — nie na własne projekty, ambicje, marzenia. Zaczyna już kielkować giełda kombinacji. Do jakiego zespołu zostać przydzielony? „U Forda, rozumiesz, lepiej. Ford silniejszy, może będzie popierał — a Rybkowski mniej się liczy...”

Przyjeżdżcie dziś do Łodzi. Odnajdziecie zamiast niecierpliwości — zniechęcenie; zamiast buntu — rezygnację. A jeśli nie wszystko, co młode, już wygasło, to trzeba było długich, szczerzych rozmów, by je wydobyć.

TRZYNASIE PROCENT

Czytam list przyjaciela:

„Powiadają nam: przecież wszystkie jest w porządku. Coraz częściej młodzież filmowa dochodzi do głosu. Są już nazwiska, które sporo znaczą: Lesiewicz, Lipman, Munk, Wajda. Nieraz połowa filmów oświatowych i dokumentalnych wychodzi z rąk młodzieży. Przecież nawet w Wytwórni Filmów Fabularnych mamy w tym roku parę debiutów absolwentów: „Pokolenie”, „Zaczarowany rower”, „Podhale w ogniu”, „Księga uwisów”. Wajda też niebawem do produkcji dalsze dwa pełne metraże, Pełteckich i Lenartowicza.

To prawda. Taka jest oficjalna strona medalu, ta że sprawozdani CUK-u. Lecz przyjeżdż, zobaczysz, jak wygląda wszystko z bliska”.

Nie łatwo więc było przekopać pokłady smutku i rezygnacji, by odnaleźć sedno problemu. Nie jest do brze, gdy sami młodzi nie mogą odczytać jasnej diagnozy z morał drobnych zadrażnień, z ogólnikowej awersji do „starych”.

Usłyszałem więc smutne dzieje Władysława Nagy, młodego operatora — nawet z dyplomem — który nic nie robi od blisko trzech lat. Po pięciu zajęciach sprowadza się do podpisywania listy obecności. Zwiernął mi swe rozgoryczenie inny absolwent wydziału operatorów, który po pięciu latach studiów wykonywał w wytwórni funkcje fotosty. Po prostu — fotografa. (Czy trzeba na to wyższej uczelni?).

Mówiono mi o odrzuconych scenariuszach. Opowiadano o asekurancie władz szkolnych, które w bolesniejszych sprawach przestają popierać swych wychowanków. Dowiedziałem się, jak tegorocznemu absolwentowi PWSF zaproponował dyrektor wytwórni wrocławskiej posiadę... laboranta. Usłyszałem wiele o pracy asystenckiej, która czasem polega na noszeniu krzesła za aktorem, na wyręczaniu pracowników administracyjnych. To wszystko jeszcze nie dawało wyraźnego obrazu. I nagle okazało się, że — jak to zwykle bywa — w statystyce jest „pies pogrzebany”. Tak to wygląda z bliska: na około 45 absolwentów PWSF, zatrudnionych w produkcji fabularnej, czekało się samodzielnej pracy — szczeni. Batorty, Berestowski, Korecki, Lipman, Steinfield i Wajda. Trzynastie procent.

*

Czy trzeba szukać ważniejszego powodu przynębienia, pesymizmu i nawet — rozpaczy? Brak własnego warsztatu. Postawcie się w sytuacji absolwenta szkoły aktorskiej, któremu każą być suflerem. Wyobraźcie sobie młodego plastyka, któremu powierza się jedynie mieszanie farb u mistrza.

Lepiej czy gorzej, ale zawsze do twórczej pracy przygotowywała PWSF swoich słuchaczy. Służył temu cały system prac praktycznych, samodzielne prace reżyserkie i operatorskie, etudy filmowe różnego rodzaju. I nagle cały zasób wiedzy i umiejętności (jakie by one nie były) — okazuje się nieprzydatny. A czasem ciężki. Oddajmy wreszta głos samemu absolwentowi.

Rozmówca I: — Pracuję jako asystent reżysera. We wszystkich filmach, gdzie pracowałem, otrzymałem dość twórcze i odpowiedzialne zadania. Proponowałem obsadę aktorską. Role epizodyczne obsadzałem samodzielnie. Podczas zajęć kierowałem całym „drugim planem” — ruchem i czynnościami, zachowaniem statystów w tle. W jednym z filmów współpracowałem nawet przy planowaniu scenariusza. W każdej chwili mógł zwierzeć — reżyser, zasięga mojej opinii, czy wszystko jest w porządku.

Ale czy to wystarczy? Nigdy, nigdy asystentura nie zastąpi samodzielności. Czy się tego kiedykolwiek doczekam?...

Rozmówca II: — Pracujemy w stałym konflikcie z kierownikiem

produkcji. Nie lubi absolwentów. „O nos — panie — nie trzeźwo myśleć. Kalendarzowy plan zdjęć nie wymaga znajomości literatury”. A my jednak pragniemy nadal się uczyć, zdobywać rutynę. Szkoła zarażała nas „bakcyliem doskonałości”. Chce się postać w czasie zdjęć, porozmawiać z reżyserem, podpatrzeć jego metodę pracy z aktorem, zażyć do kamery. Ale to się nazywa „filozofowanie”. A asystent musi organizować, orrganizować!

Rozmówca III: — Nikt nie neguje celowości asystentury. Przy pewnych reżyserach i operatorach uczymy się bardzo wiele, przy innych — mniej. Asystentura jest niezbędnym etapem, na to się godzimy bez lez. Tylko że nikt tego w wytwórni nie uważa za etap. Uznano, wbrew programowi PWSF, wbrew naszym ambicjom — że szkoła dostarcza tylko asystentów.

Rozmówca IV: — Przekreślono nasze ambicje od razu po przyjęciu do wytwórni. Czy wiecie, że nikt nie żądał od nas udokumentowania własnych kwalifikacji — choćby przez pokazanie zrealizowanych w szkole filmów? Ten rozsądny zwyczaj praktykowany był nigdzie w Wytwórni Filmów Dokumentalnych — ale teraz we wszystkich wytwórniach zarzucono go.

Nie bierzcie się pod uwagę faktu, że przychodzą żywi ludzie, że liczy się ich dorobek, liczą się ich ambicje...

Powiedzmy szczerze, nie łatwo jest młodzieży udzielić kredytu zaufania, powierzyć z miejsca samodzielny film. Równa to się otwarciu kredytu bankowego na parę milionów złotych — tyle mniej więcej produkcja filmu kosztuje.

Są inne drastyczne przykłady. W roku bieżącym z zespołu Aleksandra Forda miały wyjść dwa filmy: „Trudne serca” (tematyka wiejska, scenarzysta Jarochowski) i „Panna Małczewska” (wg Zapolskiej). Jeszcze w ubiegłym roku scenariusze były skierowane do realizacji. Przez długie miesiące przygotowywano ich produkcję, scenopisy, projekty dekoracji i kostiumów, a nawet w wyniku próbnych zdjęć skompletowano część obsady aktorskiej. Nagle wszystko się rozwiewa. Zainwestowane już dziesiątki, a może i setki tysięcy złotych idą na marne. Jedynym wyjaśnieniem jest pogłoska, że reżyser Ford zrezygnował z realizacji obu filmów. Uzupełnijmy: w międzyczasie odrzucono zostaje scenariusz młodego reżysera, Stanisława Różewicza „Moralność pani Dulskiej”. M. in. dlatego, że nie powinno być w jednym roku dwóch adaptacji Zapolskiej... Przez dwa lata z rąk rąk przechodzi scenariusz „Czolem bosii” — aż kończy żywot na półkach CUK-u.

Jednocześnie obie wytwórnie przeżywają wielomiesięczne przestoje. CUK czeka na arcydzieło. Pisarze odchodzą zniechęceni. Operatorzy i reżyserzy, absolwenci — jedynie podpisują listy obecności...

SELEKCJA I DISKRYMINACJA

„Czuujemy się często nikomu niepotrzebni. Uważa się nas za kłopotliwe dzieci, których najlepiej unikać. Ale gdy podniosą głos — bić, bić, po głowie i po kieszeni...”

Zahamowanie rozwoju kinematografii decyduje o stosunku do młodzieży. Od pięciu czy sześciu lat CUK nie wyszedł poza projekty budowy miasteczka filmowego. Mia-

niejedną skargę zanieślono do CUK-u i o dziw — wszyscy przyznawali rację zażaleniom. Nawet sam dyrektor Departamentu Kadr, tow. Lisonek. Ale nic się nie zmieniło, podobno CUK jest beznadziejnie wbrew sprzeciwu PKPG...

Charakterystycznym komentarzem do tej sprawy jest fakt, że jeszcze w bieżącym roku łódzka wytwórnia musi wypłacić swoim pracownikom 1.400.000 zł wyrównania. Jest to rezultat przegranych procesów, za niezgodne z umową zbiorową wynagradzanie pracowników. Dyrektor WFF oświadczył delegacji absolwentów: dalibyśmy wam podwyżkę, lepsze, sprawiedliwsze zaszeregowania — ale nie jesteśmy w stanie. Te przegrane procesy — to krach dla funduszu plac...

*

Ale nie tylko w WFF — system działa także w tzw. „dokumencie” i „oświatowce”.

Do WFD przychodzą absolwenci i przeważnie dość szybko dostają do roboty samodzielne filmy. Umowa zbiorowa przewiduje natomiast, że za samodzielną realizację filmu przysługuje osobne wynagrodzenie z tytułu umowy o dzieło.

System działa. Przepis umowy o dzieło stosuje się do wszystkich pracowników wytwórni, osób z zewnątrz (np. dziennikarzy, plastyków) tylko nie do młodzieży. Tu działa osobne zarządzenie, które umowę o dzieło uzależnia od posiadania dyplomu, i teraz — zdarzyły się już dziesiątki przypadków, gdy absolwent bez dyplomu pisał samodzielnie scenariusz, scenopis, realizował, czy nakręcał zdjęcia, film otrzymywał dobre oceny — a Wytwórnia nie wypłaciła mu grosza poza pen-

Dyskusja o kadrach filmowych

Oddajmy głos „kłopotliwej młodzieży”

MARCIN KOSTECKI

Lecz czy pomimo to dobrze się dzieje w państwie duńskim?

ROZWÓJ?

„Zarzucają nam marazm. Ale przyjrzyj się „aktywności” całego środowiska filmowego. Zobacz, jak wygląda w praktyce rozwój naszej kinematografii fabularnej, i jak się realizuje wskazania partii i rządu w kwestii zwiększenia ilości produkowanych filmów.

To prawda — wykazujemy mało inicjatywy. Jaką dia nie jednak gleba? I jaki mamy przykład „dorosłych” realizatorów? To już najbardziej poślesne, tracimy do nich zaufanie...”

Ten problem wypływał także we wszystkich rozmowach: głęboki niepokój z powodu braku drobnych, nawet znamion rozwoju naszego filmu. Wśród młodych łatwo znaleźć szczerze objawy gospodarskiego spojrzenia. Boli nawet to, co — pozornie — bezpośrednio młodzieży nie dotyczy. Boli każdy odrzucony scenariusz, każdy tydzień przestoju wytwórni.

Zwrócono mi uwagę na niepokojące zamrożenie pałupa ilościowego produkcji filmów oświatowych, przy ogromnym zapotrzebowaniu szkoły, zakładów pracy, szczególnie wsi — na filmy propagujące postępowość rolnictwa. Tymczasem niezmiennie od kilku lat produkcja filmów oświatowych nie przekracza 50 tytułów rocznie. A możliwości rozwoju istnieją...

Mówiono: widz nie lubi filmów dokumentalnych — ale i tak robimy ich za mało.

Najgroźniejszy jednak stan rozmińnicia produkcji z zapotrzebowaniem istnieje w gatunku fabularnym. Co gorsza, nastąpiło też rozminięcie wykonawstwa z możliwościami. Krzyżano na mnie: notuj, notuj! Nigdy za wiele się nie pisze na ten temat!

Nasze możliwości techniczne w ocenie młodzieży filmowej — przy istnieniu dwóch wytwórni w Łodzi i Wrocławiu, wynoszą 12 filmów pełnometrażowych rocznie. Ktoś dorzuci — „oceniając pesymistycznie...”

Spełnienie tych możliwości jest znane — sięga połowy. I myślę, że warto zbadać powody. To także rzuci światło na sytuację młodzieży filmowej.

Utarło się przekonanie, od lat mawiane przez władze CUK-u, że wąskim gardłem rozwoju kinematografii jest brak scenariuszy.

Jak to wygląda z bliska? W ostatnich dwóch latach powędrowało na półki kilkanaście scenariuszy, złych, niezłych i lepszych, czasem bardzo dobrych. Przypomnijmy tu choćby skandaliczną historię odrzucenia „Sprawy Szymka Bielasa”, scenariusz powszechnie uznany za najlepszy po wojnie. Zamiast „Szymka” CUK uporczywie forsował słabutki „Pech”, którego nikt nie chciał realizować.

Trzeba to nazwać po imieniu: asekurancystwo. Lęk przed decyzją. Oto przyczyna „głodu scenariuszowego”. Skierowano do produkcji okropny kicz „Niedaleko Warszawy”, bo kryło się za nim nazwisko „mocnego” Ważyka. Odrzucono „Elektrownię”, bo stali za tym scenariuszem „niesforni”; Kuśmierz i Bohdziewicz,

steczka nie ma, istniejących możliwości nie wykorzystuje się. A ze szkoły co roku wychodzą absolwenci. Coś z tym fantem trzeba zrobić...

I oto w ślad za słuszną (choć spóźnioną) decyzją wstrzymania rekrutacji na wydział reżyserki PWSF — przychodzą dalsze, coraz bardziej dyskusyjne. A więc przedłużenie o rok okresu studiów. A więc stopniowe dewaluowanie absolutorium, czy dyplomu PWSF. Wreszcie przychodzą najbardziej drastyczne posunięcia.

„Przyjeżdżam do gmachu PWSF na Targową. Popołoch, zdenerwowanie, nie ma z kim pogadać. Selekcja! Ktos określa to krótko: inkwizycja. Co się dzieje? Oto powołano komisję selekcyjną, która ma określić przyszłość studentów IV i V roku oraz nie posiadających dyplomu absolwentów. Odbłyło się to przy dokładnej przedkwalifikacji organizacji partyjnej, bez przeprowadzenia rozmów z zainteresowanymi i bez możliwości odwołania. Usunięto trzech słuchaczy IV roku, odmówiono prawa do dyplomu czterem absolwentom. Uznano za niebyle poprzednie oceny: pozbawiono prawa do dyplomu absolwenta, który za film absolutoryjny uzyskał poprzednio ocenę „dobrze”. Oczekiwana jest za kilka tygodni dalsza selekcja V roku i pozostałych absolwentów.

W ten sposób za jednym zamachem przekreślono autorytet szkoły i profesorów. Przez pięć lat (i szereg poprzednich selekcji) uznawano słuchaczy za zdolnych, dopuszczano ich do dalszych studiów — by wreszcie powiedzieć: jesteście niepotrzebni. Nie nadajecie się...

*

Innym członem systemu dyskryminacji jest sprawa uposażeń absolwentów. W roku bodajże 1949 lub 1950 zawarto między PWSF a CUK-iem umowę, regulującą te kwestie. Zgodnie z umową, absolwent rozpoczynający pracę jako asystent reżysera i operatora miał otrzymywać uposażenie według IV grupy zaszeregowania. I to był punkt wyjściowy do dalszych awansów.

Od roku ubiegłego, a więc z pojawieniem się większej ilości absolwentów w wytwórniach, obniżono „start” niemal o połowę. To znaczy absolwent otrzymuje — jako pierwszy — uposażenie wg grupy VII b. Najniższe możliwe uposażenie asystenta, takie samo — jakie może otrzymać „człowiek z ulicy”, bez żadnych kwalifikacji.

Badamy ściśli — nie takie samo. Przepisy CUK działają tylko w stosunku do „kłopotliwych dzieci”. Bo od początku 1954, gdy zaczęła działać „zasada VII b”, do wytwórni łódzkiej i wrocławskiej, przyjęto osoby na etaty asystenckie, dając im wyższe uposażenie, mimo znaczniej niższych, często żadnych kwalifikacji.

Wytworzyła się paradoksalna sytuacja: tak np. wszyscy zeszlodziłni absolwenci pełnią odpowiedzialne funkcje pierwszych asystentów i zarabiają mniej niż trzeci asystenci, „ludzie z ulicy”, nie

sją. Reżyser Jan Łomnicki kręci od ubiegłego roku trzeci samodzielny film, otrzymując jedynie uposażenie „VII b”, a od niedawna „VI b” — najniższych grup asystenckich.

Krótko mówiąc: wynagrodzenie zależy od papieru, a nie faktycznie wykonywanej pracy. I tyczy się to jedynie absolwentów.

POPRAWNOŚĆ I AUTORYTETY

„A może jesteśmy niewiele wari? Może nie nie umiemy? Powiadają nam: nie znasz młodoci w waszych poczynaniach, bierzcie kurs na filmy poprawne...”

I tak mało przejawiaje inicjatywy, nie piszecie scenariuszy”.

Grzeczność, poprawność — te cechy wpajała już uczelnia. Myślę, że wychowankowie PWSF dość się bili we własne piersi, gdy mowa była o marazmie w ich środowisku. Łatwiej było wygłaszać samokrytyki na zebraniach szkolnych, niż przeciwstawiać się akademizmowi i asekurancystwu. Chodziło zarówno o omnibusowy program studiów w WFSF, jak i ucho igielne akceptacji filmów szkolnych. Prognoza poprawności i PWSF sporo wysiłku włożyła, by ucinąć próby samodzielności artystycznej, próby poszukiwań formalnych i podejmowania śmielszych tematów. Pomyślów groteskę Janusza Nasfetera „Fotograf” uznano za przykład formalizmu. Odmawiano uparcie Stanisławowi Barejowi zezwolenia na kręcenie filmu dokumentalnego o chuligaństwie (przed trzema laty, gdy sam temat był odkrywczy). Ożagiły rok kolatał Andrzej Czekalski o zatwierdzenie filmu satyrycznego o stosunkach w PWSF.

I chyba dlatego nie doszli w szkole do większych osiągnięć czołowi dziś realizatorzy Lesiewicz, Munk, Wajda. Podobno Lesiewicz miał nawet trudności z pozostaniem w uczelni do końca studiów. Z magla komisji scenariuszowej wyjść mogła poprawność, nie przeciętność się ta śmiałość, która dziś odnajdujemy w „Gwiazdy muszą płonąć”, „Kolejarskim słowie”, „Pokoleniu”.

Ile są wari? — tego nie określi nigdy dorobek szkolny ani stopnie w indeksie.

*

Zadaje pytanie: a jak jest w wytwórni z samodzielnością? Z szeregu wypowiedzi wynika, że może trochę lepiej, ale nadal do głosu dochodzą tendencje „prowadzenia za rączką”.

Mamy bardzo pozytywny przykład „Pokolenia”, gdzie kierownictwo Aleksandra Forda zostawiło młodzieży wiele samodzielności. Ale słyszę jednocześnie o innym tegorocznym debiucie fabularnym, gdzie kierownik artystyczny decyduje o wszystkim, młody reżyser często gęsto statystuje w czasie zdjęć.

Powołano bardzo potrzebną instytucję zespołów twórczych i kierowników artystycznych. I tu jednak istnieje niebezpieczeństwo wypaczeń. Oto filmy młodych mogą być realizowane wyłącznie w zespołach, wyłącznie pod opieką.

A jeśli młody reżyser czy operator nie znajdzie opiekuna? Może się zdarzyć wypadek, że wszyscy doświadczeni realizatorzy będą zajęci własnymi filmami, i gorzej: nie

znajdzie opiekuna, bo pragnie zrobić film śmiały, odkrywczy, co jest zawsze bardziej ryzykowne od imprezy „grzecznej”. Tu także gleba dla poprawności.

*

Instytucję kierownictwa artystycznego powołała do życia służba w zasadzie leża opieki nad młodzieżą. Myślę, że można tu jednak odnaleźć ślad obowiązującego u nas prawa autorytetu.

Nic nie może się zdarzyć bez opinii doradców. Wszystkie ognia naszej kinematografii cechuje lęk przed decyzją. Dyrekcje wytwórni nie mają na tyle samodzielności, by akceptować we własnym zakresie scenariusze 5-minutowych filmów. Wszystko musi zatwierdzić CUK.

A CUK? CUK w najdrobniejszej sprawie zasięga opinii autorytetów, i od tego nie ma już odwołania. A jeśli autorytet jest omylny?

Czasami system ten bije młodzież. Posłuchajcie, jak w konkretnym przypadku podziało prawo autorytetu.

Do komisji scenariuszowej PWSF złożony został przed kilku miesiącami ciekawy projekt. Grupa absolwentów napisała trzy nowele, to samo zdarzenie (wieczór grupki chuliganów) ukazane zostało poprzez losy trzech różnych bohaterów. Oczywiście, połączenie nowel mogło dać interesującą całość — niemal pełny metraż.

Scenariusz został „życzliwie” zaakceptowany. Powstało tylko pytanie — gdzie film realizować. W szkole — młodzi mieliby niestwchać trudne warunki techniczne, gro-

wo zabrałem się do roboty, wiosna br. wytwórnia przestała płacić za nas hotel. Wraz z kilkunastoma kolegami — absolwentami znalazłem się niemal na bruku. Zastępczych pomieszczeń nie dawano nam pół roku. Mieszkaliśmy kątem u znajomych, sytuację uratowały trochę wyjazdy z ekipami na zdjęcia plenerowe. Ostatecznie jesienią dano nam pomieszczenie w hotelu robotniczym na perłach Łodzi. Trzyosobowy pokój całkowicie uniemożliwia pracę twórczą!

BEZRADNOŚĆ I MARZENIA

„I nikt nie chce nam pomóc. Może za dużo kłótałismy do różnych arziw, zbyt często wolałismy o drobnych czasach krzywdach. Czujemy, że w naszej sprawie wytworzyła się typowa „zniechęć”. Przestaliśmy już wierzyć w skuteczność interwencji”.

I z listu i ze wszystkich wypowiedzi absolwentów, studentów, można było wyczytać jedno — całkowitą bezradność. Bo ostatecznie jedynie słowami mogą dochodzić swoich racji, że są zdolni, że mają coś do powiedzenia, że pragną pomóc w budowie nowego życia i człowieka. A przecież można tego dowiedzieć tylko samodzielną pracą twórczą. Tego im się odmawia.

Są bezradni — bo muszą się gościć na wszystko. I na przekierowanie ambicji, i na brak mieszkań, i na zniszczone place. Absolwent medycyny może wybrać instytut, gdzie będzie mógł uprawiać pasjonującą go specjalizację. Młody inżynier, gdy łalami nie dostaje mieszkań, ma prawo wymówić i przenieść się do innego zakładu pracy. Młodzież filmowa nie ma o kąd odejść. Są bezradni, bo tchórzywie odmawia im pomocy instytucja macierzysta, PWSF. Nawet w skandalicznej sprawie mieszkań szkoła nie potrafiła się zdobyć na energiczne uderzenie pięścią w stół. Czy żądają za wiele? Czy pragną jakichś cieplarnianych warunków? Tak sądzą niektórzy bardzo zasłużeni realizatorzy, którzy zawsze w rozmowach z młodzieżą powołują się na przykład: „przed wojną myśmy zaczęli w trudniejszych warunkach...” Nie komentujmy lepiej słusności takiej argumentacji.

Powiadają — przypatrzcie się, jak ciężko dochodzą do głosu młodzi filmowcy Francji...

Ale my spojrzymy na Wschód. Już w chwili obecnej w Związku Radzieckim przełamano wszystkie uprzedzenia, brak zaufania do młodzieży. A sytuacja była chyba jeszcze gorsza niż w naszym kraju.

Obecnie liczba filmów, także fabularnych, kręconych przez młodzież dorównuje w ZSRR liczbie filmów „dorosłych”. Obserwujemy wyniki na naszych ekranach. Nie wychodzi źle kinematografia radziecka na tym zastrzyku młodych sił.

*

Mówi jeden z absolwentów:

— Chyba można dość dokładnie określić, czego żądamy, nasz „program minimum”. Najważniejsze — to umożliwienie absolwentom naprawę powszechnego startu. Widzę kolosalne kłopoty w związku z tą „powszechnością”, ale osobście dostrzegam też możliwości rozwiązania.

„Małe formy”! Dajcie nam robić, bez biurokratycznych komisji kolegów, krótkie filmy, nowele, plakaty, dokumenty. Dajcie nam szansę zrobić to w warunkach pełnej swobody ideowo-artystycznej, samodzielnie, bez skomplikowanej machiny zespołów twórczych, opiekunów, redaktorów. Oczywiście — uważam tu za niendzoną pełną samodzielność wytwórni, by akceptować tematy szybko, na miejscu, stworzyć nam godziwe (wcale nie cieplarniane) warunki bytowe. Chcemy mieszkać. Chcemy przestać odczuwać w restrykcjach finansowych, że jesteśmy absolwentami...

I wreszcie zaczynicie nas uważać za dorosłych ludzi. Zapomnijcie o tym, że nie mamy dokąd odejść, przestańcie to wykorzystywać. Uznajmy te propozycje za wyjściowe — chyba dalsza dyskusja o młodych filmowcach rozwinię, skonkretyzuje „program minimum”.

*

Ale mówiło się też wiele o „programie maximum”. Inne to były rozmowy, mniej zapalczywe, bardziej intymne.

Marzy się „kłopotliwej młodzieży” polski film. Ambitny, walczący, odważny. Marzy się kinematografia dwudziestu premier rocznie.

Chcą filmu trudnego. To znaczy takiego, który zmusi ludzi do myślenia, a nie podsunie im gotowe, przeżute formuły.

I padają nawet konkretne myśli: nie musi to być kinematografia państwowa, barwna. Zbyt często u nas wysięg kunsztu zamienia się w wysięg kosztów. Zbyt często pasję ideową zastępuje się wystawnością i efektem technicznym.

Marzy się film współczesny. Film problemów etycznych, wielkie dyskusji moralnej. Marzy się film — operatywny. Reagujący na krzywdę, zło, wypaczenia — natychmiast, nie po wieloletnich wędrówkach po redakcyjnych biurkach.

Pragną pracować w atmosferze czystej, prawdziwej socjalistycznej. Bez koteryjek, wygryzania, zawiści, kopania dołków. Marzy im się swobodna, szczerza dyskusja, wolność krytyki, jej skuteczność.

Prawda, że te rojenia przytłacza obecnie przynębienie. Ale wyraźnie kielkuje wiara, że ów „program maximum” będzie zrealizowany.

Bo taka jest konieczność. Innej drogi nie ma — gdyż wierzymy w wielkość i nieodwracalność przemian w naszej ojczyźnie.

Tam zapomniano o socjalizmie

(Dokończenie ze str. 1)

I wokół kombinatu. W takiej atmosferze ludzie zaczynają rezygnować z walki ze złem. Widzą daremny trud swych wysiłków. „Nie ma sensu bić się o wiatrakami — człowiek nie jest Don Kichotem”.

W ferworze walki o produkcję zapomniano o tysiącach młodych dziewcząt, które przejechały do Zambrowa nie tylko po to, by pracować, produkować i zarabiać.

DWA DOMY

Każdy, komu wieczorem przyszło iść do kombinatu, pozostawia ostatnią palącą się lampę przy kościele. Dotąd prowadzi jasna droga. Przed nami kilometr mroku. W ciemnościach choć okło wykół trzeba dochodzić do budowli socjalizmu.

Przed DMR-em gwar. Kilku mężczyzn usiłuje dostać się do środka. Stary portier zamknął drzwi na haczyk i klucz, to wszystko co mógł zrobić. Pomocy znikąd nie należy się spodziewać. Nikogo o najciszej nie można zawiadomić. W Zambrowie jest wiele telefonów, nie mają ich tylko DMR-y. Młodzi amatorzy awantur na widok obcych pośpiesznie wycofują się w mrok.

Dom to coś więcej niż cztery ściany nakryte dachem. Słowo to otacza atmosfera ciepła i pogody, wywołuje w nas skojarzenie najbliższych ludzi, najbliższych spraw.

I oto stoimy przed koszarowym czerwonym budynkiem. Nad drzwiami tabliczka — „Dom Młodego Robotnika”. Mimo że na dworze jest ciepło, ogarnia nas chłód. Brudne, szerokie kamienne schody prowadzą w górę. Śląd bierze początek długi, ciemny korytarz. Wojskowe szare sale, wojskowe „carskie” pieca, brak tylko wojskowego porządku. Pryśta gdzieś atmosfera domu. Powiało chłodem.

Łóżka przykryte szarymi kocami, niedomyta podłoga, w dużych niezastopionych naczyniach okurzone bawełniane dziewczęce fartuchy. Mieszkają po 10 i więcej, w pokojach bez krzeseł i stolików. Niepotrzebne. Zresztą tylko by zawadzały. Dziewczęta, skulone siedzą na łóżkach lub parapetach okiennych — beczynnie.

Na korytarzu kałuża. Ktoś wylał wodę z miski. Bał się myć w łazience. Łazienka wojskowa, kilkanaście kranów w jednym rzędzie, pod nimi rynny. Kiedyś emalia w rynnach była biała. Świeciły zapoalkami. Ciemno, chłodno. Dzień w dzień, rano i wieczór woda zimna — jak w wojsku. Dziewczęta nie mają białej cery. Zimna woda nie zmywa brudu, nie pielęgnuje.

Tak mieszka 400 dziewcząt. Do niedawna mieszkało ich więcej. Nie nazywają budynku koszarowego swym domem. Dom — uboga, wiejska chałupa pozostawiły na wsi białostockiej. Do domów jeżdżą na niedzielę. Czasami już w sobotę. Bywa, że nie wracają w poniedziałek rano do pracy.

Niedaleko stoi duży czerwony budynek. Nowy DMR — nowe warunki.

Lśniaca posadzka, małe, czyste, czterocobowe pokoiki. Przytulna świetlica. Dziewczęta sprzątają same. Szafy pękate od damskiej konfekcji. Ściany obwieszone podobiznami świętych, na stolikach też ich pełno. Obok nich oleodrukowe widoczki. W wazonach martwe kwiaty z różnokolorowej bibuлки.

Tu nie ma nastroju koszar. Panuje natomiast atmosfera matoniasteczkowego domu. Nikt ich nie uczy żyć inaczej, innego gustu estetycznego, innych potrzeb. Dziewczęta śpią na materacach. Przykrywają się kołdrami.

„Po co materace, niech śpią na siennikach! Kto widział dawać kołdry, koce wystarczy! W Związku Radzieckim w pierwszym okresie i tego młodzież nie miała. My zaraz stwarzamy luksus. Nie stać nas na to...”

To nie są nasze myśli. To słowa oburzenia przedstawiciela Centralnego Zarządu Przemysłu Bawełnianego w Łodzi, na „luksusowe” zagospodarowanie DMR-u. Wprawdzie dziewczęta na słomie nie śpią, ale i tak do luksusu brak jeszcze wiele.

Wszystkie dziewczęta chciałyby opuścić ponure koszary dla jasnych pokoiów z centralnym ogrzewaniem. Dziwne to zjawisko dla niektórych działaczy Centralnego Zarządu, bo przecież w Związku Radzieckim w pierwszym okresie...

Dziewczęta z nowego DMR-u są wadośniejsze, jakoś wyraźniej milsze, sympatyczniejsze, ich ruchy są bardziej energiczne. Dziewczęta w starym DMR sprawiają wrażenie przynębionych, oteplanych, smutnych, powolnych.

Nie wszyscy pracownicy kombinatu mieszkają w DMR-ach. Wielu otrzymało już własne mieszkania w nowowytbudowanych blokach w samym środku Zambrowa. Dwupiętrowe, „warszawskie bloki” kontrastują z drewnianymi budami i odrapanymi kamieniczkami. Nie potrzeba zrobić stąd ani kroku, by objąć wzrokiem istotne zmiany jakie wniósł tu ze sobą zambrowski

kombinat. Zresztą poza rynkiem nie wolno „przeprowadzać porównań gołym okiem”.

Mieszkania na zambrowskim MDM-ie wykańczane są fatalnie. Przewody kominowe połączone z przewodem wentylacyjnym. Tynk sypie się ze ścian, pęknięcia na suficie, odstające futryny i inne przyjemności nie są w stanie odstraszyć ludzi od zamieszkania w nowym osiedlu. Zdarzają się wypadki, że prądką po przyjeździe do kombinatu zastaje swoje meble na klatce schodowej, a w mieszkaniu samowwanych lokatorów. Do takich aktów rozpoczyna zmusza ludzi głód mieszkaniowy, który w Zambrowie nie jest mniejszy od warszawskiego.

Zambrow od roku jest miastem powiatowym. Zaszczył niewąpłiwie, ale potęgający jeszcze bażący kryzys mieszkaniowy. Wraz z władzami powiatowymi pojawili się w Zambrowie potrzebujący mieszkań nowi ludzie. Nie pomyślano o tym wcześniej. Nie byłoby tragedii, gdyby przedsiębiorstwo prowadzące roboty budowlane wykonywało swe plany. Plan na rok 1955 przewidywał wykonanie 500 izb — wybudowano 116. By uniknąć skandalu w roku przyszłym, obniżono plan dla m. Zambrowa na rok 1956 z 500 izb do 229.

A w Zambrowie coraz częściej wprowadzającym się do nowego mieszkania towarzyszy milicja.

PO PRACY

Minęły godziny pracy. Nadszedł wieczór — czas wypoczynku i rozrywki. Dziewczęta gromadzą opuszczając bramę kombinatu. Dokąd?

Suteryna starego DMR-u. Świetlica. Ponure to miejsce, odstrasza zarówno wyglądem jak i zimnem. Odrapaną sceną, brudne ściany, kilka stolików, parę krzeseł i jedna goła, słabo świecąca żarówka u sufitu. — To wszystko ma stwarzać przyjemny nastrój, atmosferę przyciągającą do świetlicy. W kącie stoi szafa, biblioteka. Spisy książek i czytelniczek. Wątpliwej wartości beletrystyka, dzieła klasyków marksizmu i kilka egzemplarzy historii KPZR. Obok wielu książek brak również tej biblioteczki czytelników. W „świetlicy” pusto.

Co robić? — Obie instruktorki kulturalno-oświatowe są młode, żadna nie ma kwalifikacji. Braki w przygotowaniu do zawodu nadrabiają zapalem i ambicją. Próbuja gier świetlicowych, konkursów recytatorskich i czytelnictwa. Szukają atrakcyjnych form, chciałyby — nie wychodzi. Dziewczęta uznają tylko zabawy taneczne. które odbywają się co sobota. Ale sobota jest tylko raz w tygodniu.

Zespoły artystyczne? Jest tylko jeden — taneczny. Kilkunastuosobowy. Prowadzi go instruktorka z Białegostoku.

Przychodzą na próby chętnie. Występowały już nawet. Cóż, skoro jest ich tylko kilkanaście.

Chór po kilku próbach przestał istnieć. Instruktorowi z Łomży nie opłaciło się przyjeżdżać za 15 zł na godzinę. Zapal dziewcząt przeszedł w rozgoryczenie.

Zespołów sportowych nie ma, zresztą i tak nie mogłyby ćwiczyć. Nikt nie pomyślał o boiskach. Pozostało — kino, łożko, wieczór spędzony na najtańszej rozrywce pod drzewem niedaleko murów DMR.

Kino w Zambrowie jest jedno. I to dopiero od kilku miesięcy. Dwa razy w tygodniu wyświetlane są filmy. Kina nie wybudowano w Zambrowie. Urządzono je w starym budynku służącym dawniej za magazyn. W złym miejscu postawiono ten magazyn przed laty. W przyszłym roku, w marcu pożre go hała fabryczna. Nowoczesna duża hała usunie precz obskurną „polowę beczki”. Tylko, że wraz z usunięciem „beczki” przestanie się w Zambrowie wyświetlać filmy. Nowe kino przewidziane jest w planie dopiero w roku 1957.

Tak nam mówili w Zambrowie. W Warszawie dowiedzieliśmy się, że zapadła decyzja wstrzymania budowy hali produkcyjnej i nierozzwolenia pocziwy „beczki”. Naszym skromnym zdaniem obie decyzje są niesłuszne.

„SAMOTNOŚĆ”

O mieszkankach DMR-ów złożyła wplotka roznosiła opinię nie tylko po całym województwie białostockim. Fama robi swoje. Dla wielu ludzi, którzy nigdy Zambrowa nie widzieli, miasto to kojarzy się nie tyle z kombinatem bawełnianym ile z DMR-ami.

Na ścianie świetlicy plachta szarego kartonu. Z pewnością trzy miesiące temu gdy wieszano gazetkę, karton był biały. Przepisujemy stąd taki oto wierszyk:

Po 22 u nas jest wesoło
gdz wokół hałas, szum
chłopczyków pełno jest wokół
i chuliganów także tłum.

To niektóre panny je wabła tak
co w oknach wypiewają teile
i czasem z nimi się zabawiają
choć nie spotyka ich wesele.

A potem w oknie dziewczyna płacze
bo miły ją porzucił.

— nie płacz dziewczyno nie nie pomoże
nrobituś bigosu, musisz go zjeść
nie trudno chodzić aż po ranne zorze
gdy potem wstyd, nie możesz go znieść.

Przytoczyliśmy tych kilka zdań nie ze względu na atrakcyjną formę czy treść. Ten wiersz wydaje się być wyrazem budzącej się wśród dziewcząt samokontroli, opinii koleżeńkiej, która zaczyna oddziaływać na życie w DMR. Jest on odzwierciedleniem rzeczywistości zambrowskiej. Dziewczęta same podjęły walkę o dobre imię swych domów. Czy ktoś im w tym pomógł?

Komenda MO mieści się tuż obok gospody. To sąsiedztwo pozwala milicji być skuteczną i operatywną. Komendant mówi wolno, w wywodzie jego uderza jasność, logiczność i precyzja rozumowania. To on stawiał sprawę kultury i wychowania dziewcząt na posiedzeniach w Prezydium PRN w Zambrowie.

„Do maja tego roku wszystkiego mogło w Zambrowie brakować prócz dwóch rzeczy — tłumów pijaków w gospodzie i awanturników siedzących u nas w areszcie. Uruchomienie stałego kina, utworzenie wśród mieszkanki DMR-ów zespołów artystycznych wprowadziło nową sytuację do życia naszego miasta. Mniej mamy teraz pracy”.

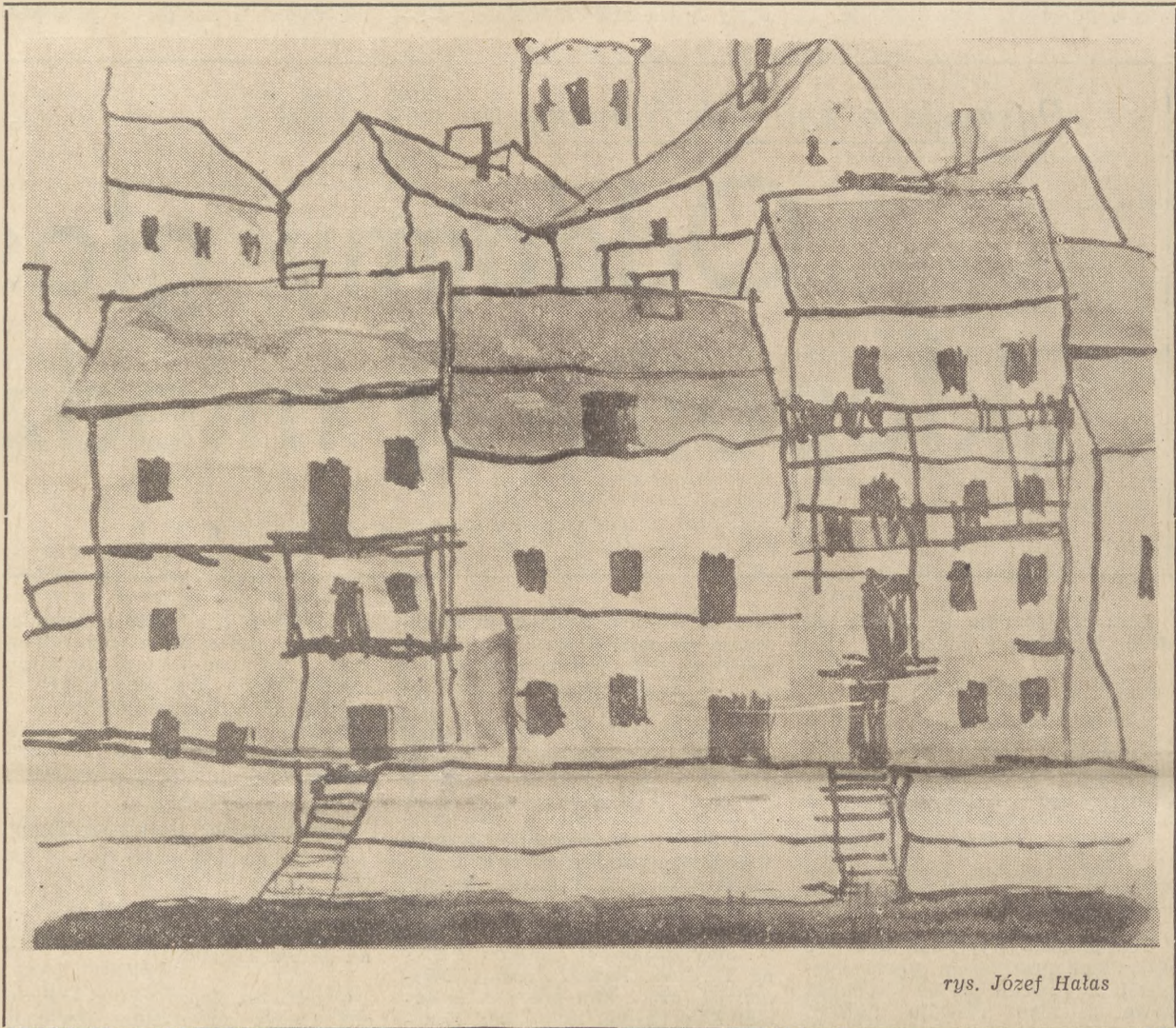
Czyżby schematyzm? Wulgarnie uproszczenie skomplikowanych zjawisk społecznych? Jedno kino, za-

ją codziennie w stołówce zakładowej.

Nie można mieć pretensji do dziewcząt, że nie czują wewnętrznej potrzeby istnienia takiej organizacji. Nikt w Zambrowie nie nauczył je być gospodarzami swojego Związku. Można natomiast mieć pretensję do ZG ZMP, że nie zapewnił mądrego kierownika potrzebnej liczebnie organizacji, na najbardziej młodzieżowej w kraju budowie.

Kto więc zajmuje się wychowaniem młodzieży? Kto jest dla niej autorytetem? Mówiąc szczerze — nikt nie spełnia tej ambitnej i trudnej funkcji społecznej. Trudno tu stawiać na dwie kierowniczki DMR-u i dwie świetliczanki. Brak doświadczeń i kwalifikacji nie da się nadrobić dobrymi chęciami, które w dodatku nie spotykają się z aktywnym poparciem ze strony partii, ZMP i rady zakładowej.

Ołbrzymia większość, bo około 90 proc. załogi stanowią dziewczęta w wieku od 18 — 20 lat. Chłopców nie ma na lekarstwo. Nieodpowiedzialnie zostały zachwiane proporcje układu sił. Myśl o domu, o własnej rodzinie wydaje się być mrzonką. To przeraża. Czy można się dziwić 18-letnim dziewczętom?



łążki zespołów artystycznych i zaraz mniej chuliganów, mniej zalewających się wódką, mniej amatorów aresztu?

A jednak fakt. Życie też zna swoje uproszczenie. Dobrze, że mamy takich „schematycznych” milicjantów, ale to jeszcze mało. Mało jest widzieć sprawę od strony jej skutków, ważniejszy jest cel.

Jest w kombinacie ołbrzymia typsiączna prawie organizacja ZMP-owska, która powinna pomagać żyć i pracować. To fakt? Nie, to tylko marzenie.

Byliśmy na zebraniu jednego z wielu kół w kombinacie.

Dziewczęta sprawały wrażenie jakby przyszły na zebranie nie własne, lecz cudzej organizacji. Nie obchodziło je wiele to co mówili przewodniczący. Gotowe były odpowiedzieć chórem „tak” na każde jego pytanie, nawet wówczas, gdyby tow. Witczak zapytał „czy jutro będzie koniec świata?”. A przecież nie zabranie miało być dyskusyjne; miało ustalić tematy dalszych dyskusji.

Trudno się dziwić temu bezładowi i apatii skoro przewodniczącą Zarządu Zakładowego z całą mocą swego autorytetu już na początku wystąpił ze zjadliwą i bezsensowną, a ostrą krytyką zabaw tanecznych i krzyków o fabule miłosnej. Wyśmiał cel życiowy dziewcząt zambrowskich. Czy ich jest winą, że czytają po kątach Mniskównę, skoro nikt nie nauczył je czytać, Flauberta, Balzac, Stendhala, Thackeraya, Prusa, Sienkiewicza, Tołstojów, czy Szolochowa, skoro brak ich w bibliotekach.

Czy można się dziwić, że ubóstwiają sentymentalne tanga skoro nie zaznały piękna prawdziwej muzyki?

Chcecie czytać książki — mówili przewodniczący — będziemy czytać, ale nie miłosne. Przyjdźcie, przeczytamy wspólnie „Brygadę ze stali”.

Sprawdzone na zebranie organizację młodzieżową — starzec prawie-miejscowy nauczyciel zadawał wciąż jak uczniakom — natrętnie pytania: „Co jest bardziej odżywcze: kasza czy mięso?” i usiłował dowiedzieć, że należy jeść kaszę, której dziewczęta mają po uszy jeżdząc

jeszcze kilka lat) i co się z tym łączy ustawicznej płynności kadr. Wypadły z rozliczeń budżetowych wiele mówiące cyfry.

Długo usiłowano nas przekonać, że ci, którzy odpowiadają za ten stan rzeczy w Zambrowie są biedni. Zbyt wiele usiłowano nam tym wytłumaczyć. Tymczasem przykładów, że zachowują się jak bogacze, można by przytoczyć wiele.

Stołówka OZR w Zambrowie wydaje skandaliczne posiłki. Niesmaczne, mało kaloryczne, co dzień takie same. Czy zambrowski OZR jest biedny? Tak i nie. Posiada wprawdzie gospodarstwo rolne, ale nie zagospodarowane. Otrzymał wprawdzie dotacje z Ministerstwa (120 tysięcy) ale za kwotę tę wybudowano wokół jednego z gospodarstw plot z elementów żelbetonowych. Ten przykład mówi za siebie.

Dodać można jeszcze małe wyjaśnienie. Pomyślono się przy obliczeniu ogrodzenia kombinatu. Na planie zostały setki elementów, które należało zawieźć z powrotem do Białegostoku. Ktoś musiałby ponieść konsekwencje liczenia na „oko”. Ten ktoś poszedł na wódkę z dyrektorem OZR i elementy upłyniły. Nikt więc już nie ponosi winy —

czynione były próby jej poprawienia.

Mowa w nim o kinie, łaźni, budownictwie mieszkaniowym, przystanku kolejowym, kanalizacji, szpitalu, ogródkach działkowych itp. Niestety nie określono, kto jest w całości odpowiedzialny za realizację zarządzenia. I tak zarządzenie Nr 56 zostało papierkiem, który pokazuje się na dowód, że przecież pamięta się o Zambrowie. My też gwieli pamięci fakt ten odnotowujemy.

SZUKAMY GOSPODARZA

Trudna sprawa znaleźć gospodarza ołbrzyźniego obiektu, którego rola nie sprowadza się wyłącznie do produkcji przędzy i tkanin bawełnianych. Szukaliśmy koordynatora wszelkich elementów będących atrybutami nowego w Zambrowie. Trafialiśmy do różnych ludzi, do różnych instytucji. Wszędzie usiłowano nam wskazać na kogoś innego, wszędzie zastanawiano się papierkami lub żelaznym argumentem — jesteśmy biedni.

Zwróciliśmy się do politycznego gospodarza Zambrowa, do KW Partii w Białymstoku.

Krótką rozmową z kierownikiem propagandy zgrzyta urzędniczymi formułkami. — Nie w naszej gestii... Towarzyszu, nie jesteśmy w stanie, nie nasze kompetencje. Nie nasze, nie moje... Dość. Szukamy kierownika wydziału ekonomicznego, on podobno jest świetnie zorientowany w sprawach Zambrowa.

Wcześniej mały pokój, do wejścia zachęciła nas tabliczka — wydział listów. Co ludzie piszą do partii w Białymstoku?

Sympatyczne kobiety rozkładają ręce — z Zambrowa? Nie, nie mamy listów z Zambrowa.

Jeszcze jeden mały pokój. Tym razem tabliczka — wydział warunków socjalno - bytowych. Nasz rozmówca nie potrafi skonkretyzować sensu działalności wydziału. Wylicza całą listę spraw, które leżą w kompetencji, ale wszystko przemawia za tym, że tylko leżą. A Zambrow? Był wprawdzie w mieście, ale w kombinacie nie, brak czasu. Słyszał coś wprawdzie ale...

— Czy instruktorzy, którzy wracają z terenu, przekazują wydziałowi materiały o warunkach socjalno - bytowych? Nie, nie zdarzyło się.

I ostatnia — rozmowa z kierownikiem wydziału ekonomicznego tow. Niewiadomskim. Nie ma czasu. Tylko kilka minut. Plan — oczywiście trudności, oczywiście ciężko, oczywiście, warunki... Bawełna. Bawełna, tylko bawełna!

Rozmowy przeprowadzone w KW PZPR w Białymstoku poważnie nas zaniepokoiły. Partia to pierwsza i ostatnia instancja, do której zwracają się ludzie skrzywdzeni, którym świat wydaje się zły i zakłamany, która otwiera ludziom oczy, uczy ich walczyć.

Czy nie zapomnieli o tym towarzysze z białostockiego KW?

*

Szeroka, piękna szosa do Zambrowa. Gospodarzem zakładu jest załoga i organizacja partii. Zebranie sprawozdawczo - wyborcze.

Na sali brak wielu członków i kandydatów partii. Sprawozdanie jałowe, deklaratywne, bez wniosków dla egzekutywy. Dyskutanci starannie „owijają w bawełnę” wszystkie bardziej drażliwe sprawy. Mało na sali młodzieży. Nic się nie mówi o młodzieży.

Sekretarz KP długo w podsumowaniu przedstawia zagadnienie zbliżenia do mas. To przecież po III i IV Plenum. Słowa są jednak puste, nie słychać w nich najżywościjszych spraw kombinatu. Wybrano nową egzekutywę, prawie wszyscy to inteligencja techniczna, kierownictwo.

Robotnik siedzący obok nas cicho coś szepce, mówi właściwie do siebie. Głośniejszy, towarzyszu!

CO DALEJ?

Sprawa Zambrowa jest znana, o Zambrowie mówi się, o Zambrowie pisze. Słyszeliśmy głosy oburzenia i widzieliśmy milczący protest. Dalej tak nie wolno. Nikt nie czeka już tam na jeszcze jedną komisję.

Bawełna, maszyny, produkcja — to bardzo ważny element naszego budownictwa, naszego życia. Ważniejszy jednak musi być jego sens społeczny. Ekonomizm, który wyrósł na pożywek biurokracji i bezduszności przynosi ołbrzymie szkody społeczne i ekonomiczne. Nie wolno go tolerować. Zambrow czeka na socjalizm

W rozmowie z wiceministrem Józwiakiem padło kilka wniosków, które powinny radykalnie zmienić sytuację w Zambrowie. Jeden z nich jest generalny W najbliższym czasie powinna odbyć się w Białymstoku „narada winnych”. Tak ią nazwał tow. Józwiak, zgłaszając równocześnie „swoją aktywny udział w obradach. Kto będzie organizatorem narady? Sądźmy, że powinien nim być sekretarz KW PZPR w Białymstoku - gospodarz i kierownik polityczny terenu. Kiedy? Jak najprędzej. Zambrow czeka na socjalizm.

R. WIŚNIOWSKI
J. AMBROZIEWICZ

Padziernik 1955 r.

Klubowe wieści

Właśnie trzy miesiące temu narodziła się, inicjatywa Klubów Młodej Inteligencji — **klubów walki z zastojem życia towarzysko-kulturalnego, intelektualnego i społecznego**. Grupa absolwentów z Brzozowa rzuciła wezwania, które na łamach PO PROSTU dotarło do innych środowisk. I jako pierwsi odpowiedzieli na nie młodzi z Łęczycy i z Mrągowa.

O sytuacji i inicjatywie młodej inteligencji w Brzozowie i Łęczycy oraz o tym jak w ogóle wyobrażamy sobie Kluby Młodej Inteligencji — pisaliśmy już w poprzednich numerach PO PROSTU (człówki numerów: 27, 31 i 34). Dziś pragniemy tylko podać dalsze wieści o tym, co konkretnie dzieje się w tych trzech pierwszych klubach.

POD ZNAKIEM SPOTKAŃ

W Brzozowie rozpoczęto od wzajemnego zapoznania się. Dawniej jeśli były jakieś bliższe znajomości to tylko w kręgu zawodowym — lekarze znali się ze szpitala, nauczyciele — ze szkoły, gorzej było z „indywidualnymi” fachowcami. Dopiero na organizacyjno-zapoznawczej wieczornicy Klubu wszyscy spotkali się w jednym gronie przy „składowym” winie i otad — jak opowiada przewodniczący Klubu kol. Sawicki — „prawie wszyscy znają się po imieniu, jest z kim pogadać, jest do kogo pójść wieczorem”.

Dwa — trzy razy w tygodniu członkowie Klubu (oczywiście ci, którzy akurat wtedy dysponują czasem) mają swoje spotkania, na razie w prywatnym mieszkaniu nadsłusznego, kol. Mazura. Zaczyna się od dyskusji bądź nad ciekawymi artykułami, bądź nad sztuką, którą zespół Klubu zamierza wystawić

(przedyskutowano już kilka utworów, ale na razie wszystkie odrzucono). Kończy się zazwyczaj na briedu.

Poza tym członkowie Klubu mieli już swój wieczorek taneczny, wzięli udział w turnieju szachowym, założyli koło PTTK, rozpoczęli współpracę z miejscowym radiowzłem. Powiatowy Komitet Partii zaprasza ich na niektóre odczyty i dyskusje, ostatnio np. zwrócił się do nich z prośbą o pomoc w opracowaniu wyciecznych dla 5-letniego planu przebudowy powiatu.

Młodzi z Brzozowa domagają się szybszego uruchomienia Powiatowego Domu Kultury, który w przyszłości stworzyłby materialne podstawy bardziej „zewnętrznej” działalności Klubu. Członkowie Klubu interweniują również w sprawie przewlekającego się remontu miejscowego kina. Chodzi tu nie tylko o przywrócenie ludności Brzozowa należnej jej rozrywki, ale również o stworzenie Klubowi możliwości organizowania atrakcyjnych, a zarazem pożytecznych (co wykazało doświadczenie warszawskie) dyskusji nad filmami.

POZYTYWNA „ROZROBKĄ”

W jeszcze większym stopniu sprawy Domu Kultury stały się osią zainteresowań Klubu powstającego w Łęczycy. Tam co prawda dom taki już istniał i kiedyś nawet wzorowo działał, ale potem „inteligenciaków” z DK wygnano, a w ich miejsce przyszli „aktywiści”, którzy co prawda z kulturą niewiele mieli wspólnego i pracę DK położyli na obie łopatki, ale za to potrafili głośno krzyczeć.

Dopiero po III Plenum wśród „starych” (ściślej młodych — jeśli

nie wiekiem, to na pewno duchem) działaczy zaczęto głośniej mówić. Mówiono, że trzeba coś zmienić, coś zrobić, tylko nie bardzo wiedzianno jak. I na ten grunt padła inicjatywa PO PROSTU. „Właśnie o to chodzi”; — powiedziano sobie po przeczytaniu artykułów o Klubach Młodej Inteligencji i zaczęto „rozrobkę” w jak najbardziej pozytywnym tego słowa znaczeniu. A że w Komitecie Powiatowym zmieniło się wiele, przyszli nowi ludzie — efekty zaczynają być widoczne.

Zmieniono kierownictwo Domu Kultury i otąd jego działalność nabiera rumieńców. Klub otrzymał lokal w tymże Domu; tam jego członkowie będą się mogli spotykać trzy razy w tygodniu. Przede wszystkim po to, aby ze sobą szczerze pogadać — bo szczerze, otwarte dyskusje będą zdaniem organizatorów najważniejszym fundamentem zaufania i przyjaźni członków Klubu. Podstaw do takich dyskusji dostarczą zarówno artykuły czy filmy, jak i miejscowe stosunki, w których wiele jeszcze pozostało do naprawienia.

Jest jeszcze jeden oręż — powstały niedawno „Express Łęczycki”, którego inicjatorami i redaktorami są przede wszystkim aktywiści Klubu (miejmy nadzieję — nie znaczy to, że wszyscy członkowie Klubu zostaną obarczeni obowiązkiem redaktorskimi). W całej tej działalności, podobnie zresztą jak w Brzozowie, napawa otuchą fakt, że ze strony Komitetów Powiatowych Kluby spotkały się nie tylko z życliwizacją, ale i z konkretną pomocą.

PIERWSZE KROKI

W Mrągowie, zaraz po przeczytaniu artykułu o powstaniu Klubu

brzozowskiego, czytelnicy utworzyli „samozwańczy” komitet organizacyjny i po porozumieniu się z Redakcją zwołano miejscowych absolwentów (przy pomocy radiowzła i ogłoszeń) na zebranie organizacyjne. I tu inicjatywa trafiła na podatny grunt, i tu wielu absolwentów traktowało swe życie jako „zesłanie” na prowincję, gdzie człowiek nie ma co robić z wolnym czasem i nie może się rozwijać.

Na zebraniu postanowiono, że Klub będzie działał w trzech kierunkach; naukowym (zapoznanie się z najciekawszymi osiągnięciami współczesnej nauki), literackim (dyskusje) i rozrywkowym (wieczorki taneczne itp.). Wybrano trzech kierowników tych „resortów” i jak na razie plany zapowiadają się ciekawie. Obiecano już lokal i obecnie organizatorzy czynią usilne starania o fundusze na jego urządzenie.

*

Oprócz Brzozowa, Łęczycy i Mrągowa mamy już sygnały o powstawaniu Klubów w Tarnowie, Busku, Poznaniu itd. Wszędzie formy organizacyjne i plany działalności ustalają sobie sami członkowie Klubów — wszystko zależy od ich inicjatywy, od lokalnych potrzeb. Nie mają racji ci, którzy żądają od PO PROSTU szczegółowych wskazań, instruktorów, pomocy w rozwiązaniu każdej drobnej trudności — taki „odgórny” zarząd miałyby się z celem. Bo do podstawowych cech Klubu na pewno muszą się zaliczać te dwie — inicjatywa i samodzielność.

A PO PROSTU będzie pomagał raczej pośrednio — zamieszczając takie materiały, które będą prowokować do klubowych dyskusji i takie, które informując o pracy różnych Klubów pomogą w wymianie doświadczeń. Wierzymy zresztą, że sprawą zainteresują się i inne pisma.

W. G.

Kilka słów prawdy

(Dokończenie ze str. 1)

Z dwojga złego lepiej by oczywiście było, gdyby kierownicy działów rezygnując ostatecznie z inicjatywy wykonywali chociaż te zadania, które mają narzucone, a o których mówiliśmy powyżej.

I tu zagadnienie trzecie: aktywny udział członków organizacji w jej pracy. Nie wiem, czym kierują się władze każąc automatycznie wciągać studentów do organizacji ZSP, wiem tylko, że to nie jest dobre. Świeżo przychodzący do uczelni człowiek chłonie bez reszły wszystko co mu podsuwają, a przynależność do ZSP jest przez kilka pierwszych dni przedmiotem pewnej dumy, która jednak pryska, kiedy przychodzi do opłacenia pierwszych składek. Tak więc wszyscy wstępują do ZSP. Nie jest tajemnicą, że od strony „ludzkiej” szkoła nasza rozwija się po linii krzywej, ale opadającej. Mīt o idealnej szkole na Reja, jak każdy mīt, przemilcza pewne złe sprawy, niemniej jest w nim dużo racji. Pamiętam, że gdy przed eliminacjami potrzebna była większa ilość prób baletu to przychodziliśmy codziennie o godzinie wieczniej do szkoły i ćwiczyliśmy. Tam żywo działało AZS, tam było mniej form, a więcej pracy; choć i tam były te czy inne trudności, ale praca ZSP nie była fikcją. Dlaczego? Tam była atmosfera, która wciągała każdego czy chciał czy nie chciał. To była grupa ludzi związanych ze sobą rodzinnie bez względu na wiek czy rok studiów. A mimo to czuło się wielki szacunek do kogoś, kto był na 3 lub 4 roku. W miarę rozwoju szkoły atmosfera zaczęła pryskać, aż doszło do wyeliminowania zaufania i więzi między latami. Jak ma wyglądać praca ZSP, jak można w ogóle myśleć o prowadzeniu baletu, chóru itd., jeżeli nie interesujemy się tym, co dla nas zasadnicze — szkołą i teatrem?

Przepraszam młodszych kolegów, ale byłoby dla mnie rzeczą nie do pomyślenia odmówić komukolwiek ze starszego roku udziału w jakiejś wspólnej robocie aktorskiej. Jest dla mnie dowodem niesłuchanego zupełnego obniżenia swoich ideałów, dowodem absolutnego braku zainteresowania zawodem fakt, że kol. Komarnicki napotyka na tak olbrzymie trudności w zorganizowaniu pracy aktorskiej. Jeżeli nie można dobrze zorganizować tej pracy wśród 20 osób, którzy przyszli zupełnie dobrowolnie, jeżeli tej 20-ki nie można zainteresować taką sprawą jak praca aktorska, to chyba tym mniej możliwe jest wciągnięcie wszystkich studentów do pracy.

Jakże śmieszne i bezużyteczne wydają się przy tym byc wszystkie instrukcje, formy pracy, komitety, zebrania — jeżeli w nas samych nie ma ani odrobiny zapалу i chęci poświęcenia się, już nie mówię, dla organizacji ZSP ale dla sprawy, która dla nas wszystkich powinna być sprawą najwęższą — dla teatru. I tak — prócz tych kilku kierowników, ZSP nie istnieje, bo nawet ci ludzie, którzy są aktywni i zapaleci do jakiejś pracy muszą „obsłużyć” zarządy innych organizacji — a reszta członków to ludzie, dla których sprawy organizacji są obce i dalekie.

Z jednej strony jest to sprawa w ogóle młodzieży i jej stosunku do organizacji, nie tylko ZSP. Dewaluacja pewnych idei poprzez nadmierne używanie pustych sloganów i hasel spowodowała wzrost cynizmu i ironicznego stosunku do tzw.

spraw wielkich. Stąd niewidzenie szerszego kręgu działalności organizacji, stąd, jak w przypadku naszej szkoły, szafowanie pewnymi hasłami o teatrze, indywidualnościach artystycznych, o specyficznych warunkach stojących przed młodymi twórcami teatru — które to hasła stały się pustymi frazesami, jeżeli ktoś nie wie, co to jest: praca w teatrze, jeżeli nie przychodzi na próby, uważa się za doskonałego artystę i nie wie, że po 4 latach szkoły umieć będzie zaledwie tyle, że nie będzie miał nawet gwarancji, że porządek zagra pierwszą rolę w teatrze. Z drugiej strony za marazm wśród nas odpowiadamy my, tj. starsze lata szkoły i my, którym powierzono kierownictwo organizacjami. Nie ulega wątpliwości, że nasz komitet w okresie, gdy byłem przewodniczącym, mógł zrobić o wiele więcej niż zrobił, i że ja za to główną ponoszę winę. Można było oczywiście zmusić się do takiego przypilnowania członków, żeby móc wyjść z czymś na eliminacje. Można było bardziej zainteresować się pracą grup, starać się nawiązać kontakt z KO. Można było wykonywać mniejsze ale z lepszym wynikiem plany pracy.

Ale patrząc z perspektywy czasu stwierdzam, że przy wszystkich powyższych trudnościach i w obecnym stanie ZSP może być u nas kierowane tylko przez zdolnego administracyjnie człowieka, który będzie w porządku od strony formalnej i wykona swoje niewielkie plany pracy. Ale istota organizacji jest wielka i na pewno zostanie realizowana tylko wtedy, kiedy wszyscy będziemy starali się wychowywać. Trudności, które powyżej przedstawiłem są trudnościami i innych organizacji szkolnych i młodzieżowych. Martwość i brak aktywności ludzi powoduje fakty, że kiedy ktoś przejawia małą inicjatywę wnet wszystkie organizacje chcą ją wziąć na swoje konto. Podejrzewam np., że gazетка „Nasze sprawy” była w zeszłym roku umieszczona w sprawozdaniach z pracy zarówno ZMP, ZSP jak i Koła Naukowego, a takich przykładów można by znaleźć więcej.

Reasumując:

1) nie ma i nie będzie zadowolających wyników w pracy ZSP jak i każdej innej organizacji dopóki nie uporządkujemy swojego stosunku przede wszystkim do teatru, do kolegów i nie pismyśmy swojej roli i sensu istnienia w tej czy innej organizacji;

2) nie może być mowy o pracy ZSP, dopóki będzie mechaniczna rekrutacja;

3) członkowie komitetów muszą przejawiać maximum inicjatywy w pracy i muszą być istotnie nią zainteresowani, z tym, że bez zasadniczego nurtu pracy wśród członków ich wysiłki nigdy nie będą efektywne;

4) trzeba skończyć z „urzędniczością” wśród członków komitetu;

5) zainteresowanie KO powinno pójść nie tylko w sensie formalnej pomocy, ale instrukcje i pomysły powinny być dostosowane do specyfiki szkoły teatralnej.

Kiedy zastanowimy się nad powyższymi wnioskami oraz nad szeregiem innych spraw, które być może wynikną z następnych wypowiedzi — prawdopodobnie dojdziemy do jakichś wniosków.

Z. ZAPASIŃSKI
PWST — Warszawa

AUDIENCEJA

(dokończenie ze str. 1)

wszystkim prawa. Każdemu Słowianinowi zamieszkałemu w Polsce, braterstwo, równe we wszystkich prawa. Każdej rodzinie rola domowa pod opieką gminy. Każdej gminie rola gromadna pod opieką narodu. Wszelka własność szanowana i nietykalnie pod straż urzędowej narodowemu oddana. Pomoc polityczna, rodzinna, należąca od Polski bratu Czechowi i ludom pobratymczym czeskim, bratu Rusowi i ludom ruskim. Pomoc chrześcijańska wszelkiemu narodowi jak bliźniemu.

W tym stylu powiedziane było wiele podobnych rzeczy. Z Paryża Celina stała zachwycona listy: zwłaszcza ustęp o równych prawach kobiety przypadł jej do przekonania. Ale catość była, w istocie, bardzo, bardzo błada. Wprawdzie jeden artykuł głosił coś w rodzaju wspólnego posiadania ziemi, raz przez rodzinę (pod nadzorem gminy), drugi raz przez gminę (pod nadzorem państwa). Nawet w Hotelu Lambert, dokąd akt ów nibawem doszedł, nie przerażono się nim zgola. Jeden tylko Władysław Zamoyski kręcił nosem na „równe prawa kobiecie”. Za to Francuzi: Proudhon, Quinet, Michelet — ostatecznie mieli dość do wniosku, że polski poeta zabrnął w dewocję.

Mogło się tak istotnie wydawać. Na razie „symbol polityczny” spełnił bowiem swe najbliższe zadanie: udobruchał koła watykańskie do

tego stopnia, że pozwoliły na druk owego manifestu we własnej Watykanu drukarni; i doszło do skutku to, czego nie osiągnął Towiański i audjencia u Papieża.

W kilka dni po procesji miała miejsce owa audjencia, tak przez poetę upragniona. Ale nie miał pójść sam. W drodze misternych zabiegów — poprzez Zygmunta Kraśńskiego i Zmartwychwstańców — ustalono, że Papież przyjmie nie samego Mickiewicza, ale polską delegację, w łonie której byłby i Mickiewicz. Delegacja była sklecona dość łapankową modłą. Przysięcało jej widocznie również i staropolskie „kochajmy się”, bo wraz z Mickiewiczem udał się w tej piątce ów Edward Łubiński, tak rugowany niedawno na inauguracyjnym zebraniu Legionu. Przyszedł Ludwik Orpiszewski, ongiś jeden z owej bohaterskiej niezręcznej osiemnastki, która wraz z Nabelakiem i Goczyńskim, wieczorną napasnicą na Belweder zrodziła powstanie listopadowe. Dziś był to zakamieniały, konserwatywny czartoryszczyk. Był Edward Jełowicki, który reprezentował mniej skrajne, acz nie mniej prawicowe odciany emigracji. Był wreszcie malarz Potępski — z własnego powołania reprezentujący pność demokratów.

Audjencia rozpoczęła się błogosławieństwem. „Papież — opowiadał potem Łubiński — błogosławił Polskę pod tym warunkiem, by została katolicka. Mickiewicz ukląkł i przysięgał, że Polska chce katolicka pozostać”.

Ale było to już klęknięcie ostatnie. Teraz poeta poderwał się do ataku. W dłuższym przemówieniu, przez nikogo nie zapisanym dokładnie, wyłożył Papieżowi swój pogląd. Oto świat dąży do przemiany, to dążenie jest słuszne, cele tego dążenia są moralne, pokrywają się z celami chrześcijaństwa.

I naraz mowa zamieniła się w dwugłos dyskusji:

PAPIEŻ: W tej chwili nie uczynić nie możemy, bądźcie cierpliwi, czekajcie.

MICKIEWICZ: (ku zgrozie Łubińskiego, Orpiszewskiego, Jełowickiego a potem wielu podobnych): „Lecz my cierpimy, Ojczy”.

PAPIEŻ: Stan Polski jest mi znany z opowiadań pobożnych Polek.

MICKIEWICZ: Ojczy Święty. Słyszałeś tylko komediantki salonowe.

Gdybyś raz usłyszał jęki Matki Polki, to byś sen stracił.

Ale zaraz wrócił do spraw ogólnoludzkich: „Świat — powiedział — domaga się u Ojca Świętego, aby stał się zbawcą ludów. Znam młode pokolenie, żyłem wśród niego, przemawiałem dość publicznie przez lat kilka, wiem, ile w nim ognia i zapalu, ale wiem też, że tylko za pomocą uczucia patriotycznego poruszać je dzisiaj i prowadzić można, ono potrzebuje kierownika, bo zastawione samemu sobie pójdzie gdzie je namiętności poniosą. Tym kierownikiem stojącym na czele wyswobadzających się ludów po-

winien być Ojciec Święty, bo inaczej kiedy on tego zaniecha, inni ster uchwyć, że szkoda kościoła i Papież za krew przelaną będzie odpowiedzialny”.

Pius IX raz jeszcze próbował przerwać. Tym razem to on wrócił do spraw Polski. „Jeżeli Polacy chcą Rzeczypospolitej — rzucił — tym gorzej dla nich”.

Mickiewicz odparł: „Nie chodzi tu o formę rządu, ale gdyby inicjatywa nie wyszła ze Stolicy Apostolskiej, wiele by Kościół na tym ucierpiał. Bóg wybierze sobie inne drogi”.

Mickiewicz uważał, że godzina działania wybiła: wierzył, że przemiany, jakie niosą szczęście ludzkości, przyniosą je i Polsce; sądził, że cele chrześcijaństwa i rewolucji są, koniec końców, zbieżne, a ich drogi mogą i powinny być jednakie. Chciał Rzym, Kościół, Papieża, pozyskać już nie dla towianizmu, ale dla rewolucji, dla roku 1848, dla Wiosny Ludów. I wierzył, że to wszystko jest możliwe. Po to były potrzebne i spowiedź, i klękanie, i biblijna nabożność legjonowego manifestu i targi ze Zmartwychwstańcami.

Ale drogi, które chciał łączyć poeta, rozeszły się już były daleko, i jego apel brzmiał na papieskich komnatach echem niemożności, a może także i głębokiej, ludzkiej tragedii.

Wiara jeszcze jednego polskiego poety padała owego wieczoru wiosennego „na papieskim progu”.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

JACEK KUBSKI

Z powodu jednej publikacji

Co wie o życiu i walce młodzieży akademickiej i młodej inteligencji w przedwzrzesniowej Polsce typowy przedstawiciel obecnego pokolenia studenckiego? Co konkretnego — poza garścią frazesów — wiemy zresztą o tych obfitujących w piękne, porywające tradycje czasach i my, przedstawiciele młodego pokolenia inteligencji, których świadome życie przypada przeważnie na lata Polski Ludowej, a najwyżej sięga pierwszych lat okupacji?

Miejsce żenującej odpowiedzi zastąpię innym pytaniem: skąd można było czerpać tę wiedzę? Zaiste — niewiele znajduje się dostępnych źródeł. Zrozumiałe zainteresowanie musi oczywiście w tych warunkach wywołać wydana ostatnio książka Tadeusza Kozaneckiego*).

Wzbudza ona refleksje wykraczające daleko poza nią samą. Nie należy więc poniższych uwag — zwłaszcza krytycznych — odnosić wyłącznie do omawianej książki. I nie autor jest głównym winowajcą jej niedostatków.

Wydaje Zarząd Główny ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ
Red. nac. ELIGIUSZ ŁASOTA.
Kolegium redakcyjne:
ANNA BRATKOWSKA (zast. red. nac.), STANISŁAW CHEŁSTOWSKI, BARBARA KAŁAMACKA, WIENIAW SZYNDLER, RYSZARD TURSKI
Adres redakcji: W-wa, Wiejska 17.
Telefony: redaktor nac. — 841-24, centrala — 832-91, 832-92, 832-93.
Prenumerata: kwartalnie — 4,20 zł, półrocznie — 8,40, rocznie — 16,80.
Nakładem RSW „Prasa”
Administracja RSW „Prasa” III Delegatura, Warszawa, ul. Marszałkowska 8, tel. 807-11.
Drukarnia RSW „Prasa”, W-wa, ul. Marszałkowska 3/5.
Zam. 2479 B-6-10355

„...bunt i walka to nieodłączni towarzysze życia młodego pokolenia w Polsce przedwzrzesniowej. A w walce tej **počasne, choć specyficzne** miejsce zajmował zrywający się wciąż na nowo bunt biedoty studenckiej. Różnił się on wprawdzie od bojowych wystąpień młodych robotników i chłopów — był **bardziej skomplikowany w swym wyrazie politycznym i ideowym**, był stale rozdzierany szarpnięciami **klas** **wewnątrz sprzecznościami** **klasowymi**, obfitował w wiele **dramatycznych i bolesnych** zapałów, stanowił jednak nieodłączną część walki młodzieży o prawo do życia” (str. 6, podkr. moje — JK).

Ta obietnica wyjaśnienia wielu problemów nie została jednak do końca spełniona. Nie ujawnia się w całym bogactwie i dynamizmie obraz toczącej się na uczelniach walki. Nie wiadomo, jaką szczególną rolę, zwłaszcza wśród inteligencji i młodzieży, odegrała ta walka w ogólnych wysiłkach partii nad skupieniem wszystkich antyfaszystów w szeregach Frontu Ludowego.

Zadanie dokonania takich zasadniczych syntez (a jest ich oczywiście znacznie więcej) przerasta, rzecz jasna, siły jednego człowieka. Z usług, której autorowi nikt nie może odmówić, jest, że nie obiecywał, a książkę napisał i wydał. (Szkoda tylko, że dość długo, jak należy wnosić, nabrała ona „mocy redakcyjnej” w „Iskrach”...) Byli bowiem na Wydziale Historycznym UW koledzy, którzy nie tylko obiecywali, ale podejmowali uroczyste zobowiązania i... nie nie zrobili.

Mówię o tym dlatego, że Kozanecki, podejmując pracę nad książką o charakterze popularzatorskim, propagandowym — stanął wobec

materiału nietkniętego niemal naukową analizą.

Autor przytacza szereg interesujących danych statystycznych, sprawozdań prasowych, wiele wypowiedzi i dokumentów. A jednak tak gorące i dramatyczne walki studenckie mimo wszystko w relacji szeleszczą papierem. Zaciążyła tu na pewno okoliczność, że podstawowym materiałem na którym — obok prasy — oparł się Kozanecki, są odczyty, sprawozdania organizacyjnej itp. Trzeba przyznać, że zbyt obfite ich nagromadzenie nie sprzyja lekturze: nie każdy przecież umiał je pisać tak jak niezrównany Julian Brun.

Nie to jest jednak najważniejsze, chociaż książka propagandowa powinna dać się czytać jednym tchem. Ograniczając się przeważnie do tego rodzaju materiałów, autor ukazał **awangardę ruchu** w oderwaniu od mas i od wroga, z którym o te masy toczy się walka. Mało jest takich fragmentów, jak opis strajku okupacyjnego na Politechnice Warszawskiej w marcu roku 1936. Zbyt często o masach mówią zdawkowe ogólniki, które nie pokazują konkretnie, co dzieje się wewnątrz ich szeregów.

Wróg w książce Kozaneckiego nie ma w gruncie rzeczy konkretnego, wyrazistego oblicza; wiadomo o nim, że wyznaje nacjonalizm i antysemityzm; kwituję się go ocenami: „faszysty”, „reakcjonista”.

Czym jednak trafiali owi, ideologiczni i polityczni dywersanci do mas? Jak starali się pozyskać wśród nich wpływy? Jakże były warunki nacisku reakcyjnej ideologii? Nie wiadomo. Bez tego wszystkiego nie sposób zrozumieć **mas studenckich**, nie sposób pokazać awangardę i całość wydarzeń w rozwoju.

Cierpi na tym i obraz samej awangardy. Odnosi się chwilami przemożne wrażenie, że postępowe organizacje oddziaływały na młodzież wyłącznie poprzez „zasadnicze” odczyty i przemówienia na wiecach.

Ciągle jeszcze strasznie mało wiemy o ludziach tamtych czasów! Nasza ich znajomość ogranicza się przeważnie do tego, co robili, co było przedmiotem ich walki. Znacznie skromniej przedstawia się nasza wiedza o tym, jak działali. A bardzo chciałoby się przecież mieć pojęcie, **jacy oni byli**, jakie było ich pełne dramatyzmu życie, jak dzielili czas między walkę i studia? Taki obraz zbliża i do wyznawanych przez nich idei, a tym samym podnosi niezmierznie skuteczność naszej agitacji. Oprócz tego kryje się w tym obrazie niezmiernie ciekawy problem: jak tworzyła się i wychowywała w walce inteligencja proletariacka?

Irytuje wprost, kiedy o Henryku Dembińskim ma się tylko tyle do powiedzenia, że był to „plomienisty antyfaszysta”, kiedy równie ubogo przedstawiają się sylwetki (jakże nie liczone przy tym!) innych wybitnych działaczy (żywy rysuje się jedynie postać „Justyna” — Jaszuńskiego); kiedy relacja o słynnym procesie wileńskiej Lewicy Akademickiej obejmuje 10 załatwiających frazesów wierszy druku.

Kozanecki nie tylko jednak dzieli niedole naszej wiedzy o ruchu młodzieży w latach trzydziestych. Nabroił w książce to i owo na własny rachunek. Sądzę, że nawet uwzględniając obiektywne trudności, w jakich się znalazł pisząc swą pracę, nie można darować mu liczných, niestety, uproszczeń i znamion powierzchownej roboty.

Zaskakująca i trącają sekcjarsstwem, właśnie w odniesieniu do lat narastania faszyzmu, jest ocena burżuazyjnego liberalizmu. Zaskakująca tym bardziej, że sam cytuje wypowiedzi intelektualistów, z tych pozycji broniących demokracji. Nie z innych pozycji podniósł swój głos protestu profesor Kotarbiński, dla którego głęboki szacunek, za jego postawę w tamtych trudnych czasach, przejęliśmy od starszych towarzyszy. Dziwi zresztą, dlaczego czytelnik nie spotyka tego nazwiska w książce, czemu nie znajduje nazwiska profesora Ossowskiego.

Szkodzi książce, osłabiając siłę jej wymowy — demagogia, której autor dopuszcza się w niektórych miejscach opisując stan nauki i szkolnictwa wyższego (str. 23, 41, 51, 96), położenie mas pracujących (str. 7, 39) czy przedstawiając ideologiczne oblicze wroga (str. 14). Przytoczone we wskazanych ustępach materiały budzą niemile podejrzenie, że — formułując uczenie — podstawiono pars prototo, albo — używając żargonu organizacyjnego — po prostu „podebrano” odpowiednie przykłady. Niedobrze, że autor podrywa zaufanie do własnych wywodów nieprzemyślanym chyba zakwalifikowaniem bez wyjaśnienia „Przekroju Tygodnia”, jako pisma „zdecydowanie reakcyjnego” (str. 125), skoro przeczą takiej ocenie **wszystkie** cytaty, zacerpnięte przez niego samego z tego tygodnika (por. np. str. 124, 137, 140). Pozornie są to tylko drobniaki.

Nie mogę sobie tu odmówić uwagi, że gdzieśgdzie „podradagowano” źródła (np. cytata ze str. 149 odbiega w szczegółach od tekstu fotokopii ze str. 148).

Czy książka tow. Kozaneckiego jest dobra? Jest bardzo potrzebna

Zasuguje na szerokie wykorzystanie.

Zubożaliśmy dotąd nasz arsenał środków oddziaływania i źródeł inspiracji w pracy politycznej pomijając milczeniem piękne tradycje ruchu studenckiego i młodej inteligencji. Nie umieliśmy działając w tym środowisku wykorzystać także jego własnych tradycji. Nie docenialiśmy ich ideologicznego znaczenia.

Chciałbym jeszcze wrócić do tezy wyjściowej o jednoci popularyzacji i propagandy z badaniami naukowymi. Wnioski powinny wskazywać przyczynę, nie objawy. Dlatego twierdzę: **wiecej badań i wiecej publikacji!** O strajkach studenckich i o klubach dyskusyjnych, o walce przeciw nieludzkiej ideologii i o samotnych zmaganiach z ciemnotą zdanych na własne siły nauczycieli i lekarzy wiejskich: o udziale młodych w rozwoju postępowej nauki i kultury i o solidarnych wystąpieniach inteligencji z proletariuszami i chłopami; o bohaterstwie świadomych rewolucjonistów i o postawie i pręmanach uczciwych ludzi na rozdrożu.

Rozumiem, że front ideologiczny ma wiele ważnych i ważniejszych zadań do podjęcia i rozwiązywania. Nie sądzę jednak, aby omawiana sprawa zastugiwała na lekceważenie. Powinny tu obok historyków wykazać inicjatywy i koła naukowe i Kluby Młodej Inteligencji.

* Tadeusz Kozanecki. Z dzieł studentów walk 1932-1939. Str. 175, cena zł 9. — PW „Iskra”, Warszawa 1955. red. Anna Pawłowska.

PO PROSTU 7

ALEKSANDER ZIEMNY

Na schodach

Opowiadanie satyryczne



rys. Zbigniew Kiulin

uważa za konieczne zapatrzyć swój fronton w iłkne i dumne schody. To zrozumiałe: im więcej schodów, tym wyższe progi.

Opodal jednego z takich urzędów zakolysała się miękko, stając w miejscu, limuzyna o solidnej powierzchowności. Wysła z niej Osoba, płci męskiej. Zatrzasnąwszy drzwiczki, Osoba rozejrzał się naokoło bez zaciekania. Widok szklana na kaulach i oszronionych gałęziach przywołał na sekundę jakiś obraz z dzieciństwa.

Zaraz jednak duch jego wrócił do postawy zasadniczej. Widma przeszłości pierzchyły w popiochu przed aktualnie ważnym, kolegiennie uzgodnionym obrazem rzeczywistości.

Wstał wolno na schody. Kiedy lewa noga odrywała się od trzeciego stopnia, do polu pała przyplątała się jakaś staruszka miała nieprzejednane, niebieskie oczy, już zbliżając się, gadała nieprzerwanie.

— Dni przyjęć dla świata pracy w poniedziałki — powiedział uprzejmie Osoba.

— Ale ja nie mam świata pracy, wielmożny panie prezesie, ja mam córkę Wiktorie, ona się bardzo zasłużyła w fabryce... ale nie ma zimowego palta... przez tę nagrodę, co jej zatrzymali. Czy to się godzi, panie prezesie, dziewczyna przed zamęciem, bez palta?...

Osoba, dla poprawy samopoczucia, wstał o dwa stopnie wyżej. Sytuacja wszak pozostała bez zmian, albowiem to samo uczyniła staruszka. Osoba poczuł rzadki u niego przypływ zakłopotania.

„bliżej mas... więcej troski... nstawiać ucha na głos dołów — starał się utrzymać w formie znajomymi zakłębiami.

— Już wszędzie chodzą... Zły duch moją korcił, całą prawdę po wiedział jednemu takiemu nacelnikowi socjalnemu. I za to teraz cierpi. — Wynurzenia staruski szybko zamieniły się w uszach Osoby w jednostajne ciurkanie. Nuda. Pojedynczy przypadek, brak syntezy w skali ogólnokrajowej.

— „Więc mówię, że ten socjalny nacelnik zakopał się w jakieś nieczyste interesy. Odebrali mu potem za to rangę, a moje — premię. Zawsze tak, panie prezesie — jak zwada, to posterunkowy wszystkich bez różnicy ciągnie do komisarjatu.

Osoba usłyszał słowo „premja“ i litując się nad ograniczeniem umysłowym tej babci pomyślał, że właśnie ma zreferować odnośną uchwałę centralnie dla 27 milionów Polaków...

Znów, by zaznaczyć dystans, podniósł się o cztery stopnie. Daremnie, staruszka poszła za nim. Zaczęła poplikiwać, to było dość przykre.

— Chodźłam po parterze i po piętrach, uzbierał się już pewnie cały różaniec tych biurów... Ciągłe tylko powiadają „do wyjaśnienia“ i „do wyjaśnienia“. Pytam się, co tam jeszcze ciemnego? A oni mówią, że wszystko już jasne, ale musi być jeszcze jaśniejsze... Takie jasne, żeby patrzeć nie było można...

Tymczasem naokoło tych dwojga robił się mały ruch. Kiedy Osoba po raz trzeci podniósł się o parę stopni wyżej, tłumek parskał śmiechem. Na przedzie stał krępy facet we włochatej cyklistówce — z wyglądu lekkoduch i wartogłów. Wydziałał się z niego jakieś krzykliwe rozowichrenie, w ogóle robił wrażenie niepoważnego osobnika.

— Nie bój się pani! Pociśnij mocniej! — krzyczał przez chrypkę. Widać było, że jest przejęty i ciekaw obrotu sprawy.

Po chwili wyskoczył przed niego pełen — jak to mówiła jego mina — potępienia dla prostactwa, starszy obywatel z wypielegnowanym wąsem, w dobrze skrojonym, choć wytartym palcie. Wlepił szkła w Osobę i przemówił:

— W imieniu zgromadzonych tu przechodniów upraszam...

Osoba czuł się, jakby stał przed tymi ludźmi, rozebrany do bielizny. Chciałby się ustosunkować, ale czynność ta zabierała mu zawsze co najmniej 3—4 dni. A staruszka napierała, on wszak był dla niej szafarzem sprawiedliwości.

Może zatkać jej usta pękiem cyfr statystycznych, które mógł zawsze wygłaszać bez kartki? W porę zrelektował się. Przeczul, że stałoby się potem coś bardzo niedobrego.

Było jeszcze jedno wyjście. Sięgnął do kieszeni po notatnik z odrywkanymi kartkami, którymi po napisaniu paru nieczytelnych słów „wg kompetencji“ odpędzał od siebie tak zwanych prostych ludzi w okolicznościach pozasłużbowych. Zamiar ten jednak uprzedzono.

— Nie bierz pani!.. Chce się byle czym wykręcić! — krzyczał prostacko wartogłów, napiętym, pełnym jakiegoś junaćwa głosem.

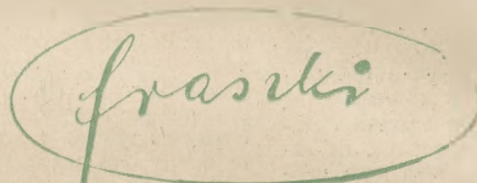
Starszy obywatel usiłował jeszcze raz przejąć w swoje ręce reprezentację przechodniów, ale wartogłów zamachał mu przed oczami teczką i chwycił dla postrachu garść żółtych liści.

Osoba poczuł, że traci twarz z minuty na minutę. Życzył nawet dobrze tej staruszce, chciałby jakimś jednym cięciem załatwić tę głupią sprawę. Niestety, nie mógł



— Boże mój, znowu jakieś odwiedziny?

Rys. Lech Zahorski



JAN SZTAUDYNGER

NA MŁODEGO AKTORA

Maniera szła przed nim i za nim
Do diabła z takim graniem.

POGŁĘBIARKA



rys. Maja Berezowska

Pogłębia wiedzę
O... koledze.

LUSTRO

I w lustrze prawdy nie ma
Patrzy na ciebie... twoimi oczyma.

BOGUSŁAW WOJNAR

O PEWNYM TŁUMACZU

Wiernie tłumaczy i pilnie słucha
Co o przekładach mówi krytyka,
Lecz prędzej odda swojego ducha
Niżeli ducha języka.

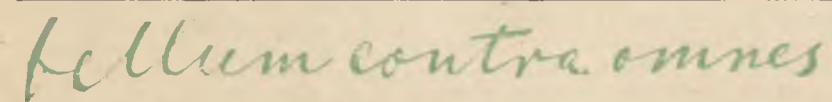
PARADOKS

Żyje dwóch przyjaciół,
Różnie im życie bieży:
Jeden idzie z duchem czasu,
A drugi w duchy nie wierzy.

WASYL ARDAMACKI



— Wczoraj?
— A dokąd?
— A co to was to obchodzi? Wyjechał i tyle. — Adalia Piotrowna demonstracyjnie odwróciła się do swojej bielizny.
Ale właśnie to, że nie chciała powiedzieć dokąd wyjechał pisarz, wydało się Potapowowi podejrzane i poprosił gospodynię o przejście do domu.
— Musimy porozmawiać...
Początkowo rozmowa jakoś nie kładła się, ale stopniowo pytania majora i odpowiedzi kobiety zaczęły wyjaśniać dosyć dziwną historię.
Adalia Piotrowna opowiadała całą historię znajomości ich rodziny z Okajemowem i o tym, jak zmartwychwstał i pojawił się teraz u niej.
— Kiedy on do was przyjechał? — zapytał Potapow i zamierzył w oczekiwanie.
— W ubiegłym tygodniu, w niedzielę.
— Rano? Wczoraj?
— Pod wieczór.
— Tak... Jasne...
— Jasne — powtórzył. — Opiszcie mi jak wyglądał.
— Mój Boże, ale jak to zrobić? Nie potrafię.
— Jak był ubrany?
— Boże, daj pamięć... Znaczący się, marynarka ciemnoszara. Spodnie włożone w buty. Ukraińska kosałka, taka z tasielkami na kolnierzu...
— Tak. A jak on ma twarz? Czyży? Włosy?
— Mam! — Adalia Piotrowna zerwała się, pobiegła do sąsiedniego pokoju i wróciła stamtąd z dużym rodzinnym albumem. — Tu jest jego fotografia. Mój mąż i on. Byli razem na wczasach jeszcze przed wojną... To...
Potapow wpił się oczami w zdjęcie. Adalia Piotrowna chciała wyjaśnić, kto na tym zdjęciu jest jej mężem, a który to Okajemow, ale major zatrzymał ją.



Brak paragrafu

W grudniu ub. roku w artykule pt. „Zakręty kraja“ poruszyliśmy sprawę Ireny Hilsberg, studentki wydziału prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Przypomnijmy w wielkim skrócie o co nam wtedy chodziło.

Irena Hilsberg ma otwartą grzeczność. Ze względu na niesłychanie ciężkie warunki mieszkaniowe i materialne starała się o przydział miejsca w studenckim pensjonacie przy ulicy Górnośląskiej. Jednak na przeszkodzie stanęła tu instrukcja Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego mówiąca, że student, który nie mieszkał w domu studenckim, nie może być zakwaterowany w tym sanatorium. Dziekan wydziału prawa prof. dr Czachorski zasłaniając się powyższą instrukcją nie zrobił nic, by umożliwić Irenie Hilsberg pozytywne załatwienie sprawy. Trzeba było dopiero batalii prasowej i naszej interwencji w Ministerstwie, by uwzględnić ten naprawdę wyjątkowy wypadek.

W tej chwili już od wielu miesięcy Irena Hilsberg znajduje się w sanatorium przebiegającym w Zakopanem. Grupa studencka otoczyła swą koleżankę

troskliwą opieką. Dzięki temu Irena zdała sesję letnią bez jednej noty dostatecznej. Obecnie miała mieć ciężką operację — terakoplastykę. W związku z tym wysłała prośbę do dziekana wydziału, by pozwolił jej zdawać egzamin z sesji zimowej w terminie o miesiąc późniejszym. Na dwa dni przed operacją otrzymała odmowną odpowiedź z dziekanatu. W efekcie nastąpiło pogorszenie stanu zdrowia chorej i operację trzeba było odłożyć. Jako powód odmowy podaje prof. dr Czachorski fakt, iż nie ma odpowiedniego aparatu w instrukcji MSW, który przewidywałby formę ustosunkowania się do tego rodzaju sprawy.

Na marginesie chcemy przypomnieć ob. Dziekanowi o studentach tegoż wydziału Nastolskim i Bejtmannie — jak stwierdzają ich koledzy — notorycznych leniuch, którzy jednak otrzymali od dziekanatu pozwolenie na odłożenie kilku egzaminów.

W związku z powyższym uważamy, że sprawa prof. dr Czachorskiego dojrzała do rozpatrzenia jej przez władze uczelni.

Nie jesteśmy zawistni!

Otóż to!

Przy pierwszym numerze „Po prostu“ pod nową redakcją, zwróciliśmy m. in. uwagę na niesmaczne notatki. Apeliując do redaktorów o bardziej odpowiedzialne sformułowania. Obecnie musimy ponownie ten apel.

Przypisek do artykułu „Warszawa godz. 14“, opowiadającego o szturmie studenckiego tłumy do lokalu „Po prostu“, gdzie wydawano kawiarnię na pokazy filmowe łączone z dyskusją, brzmi:

„Przy okazji wyrażamy gorące podziękowanie Zarządowi

Rzeczywiście dowcip z MDM-em był nieszczytny, sam znam lepsze. Ale nie tylko o to tu chodzi.

Nie jesteśmy ani zawistni ani zazdrośni. Przeglądamy ów, mówiąc delikatnie, nietakt zawarty w sugestii, że inni (?) robili lepsze od nas pisma w jeszcze gorszych warunkach lokalowych. Czywi-

ście jakości pisma nie zależy od wielkości ani jakości lokalu redakcyjnego.

Powtarzamy — nie jesteśmy zawistni i serdecznie życzymy zespołowi „Trybuny Ludu“ i towarzyszyowi „Pr“ osobiste przyjemnego urzędowania w nowym wielopiętrowym budynku przy pl. Starynkiewicza.

Jerzy Urban

„...Postarajcie się tylko o zwiększenie Waszego nakładu. Kioski utrzymują dosłownie po kilka egzemplarzy. Ludzie wyrzucają sobie z rąk każdy numer PO PROSTU. Szczęśliwy nabywca wypłucza znajomym i dopilnowuje zwrotu...“ — pisze Zenon Wiński ze Stupski. Z całego kraju otrzymujemy tysiące podobnych sygnałów, lecz odpowiedź na nie jest tylko jedna:

Guarancję otrzymywania PO PROSTU

daje tylko

PRENUMERATA POCZTOWA

Prenumeratę należy opłacać w urzędach pocztowych miejsca zamieszkania

JUZ TERAZ

za I kwartał 1956 — 4 zł 20 gr

za I półrocze 1956 — 8 zł 40 gr

za cały rok 1956 — 16 zł 80 gr

(Dalszy ciąg nastąpi)